ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK VIII. Nr 31/371

LONDYN, 1 SIERPNIA 1954 R.

GLOSSATOR

MUCHY NA SZYBIE

I.

Rok po śmierci Stalina był w Związku Sowieckim okresem pewnego rozluźnienia więzów, nałożonych na literaturę za jego życia. Pisarze i krytycy sowieccy, wśród nich Ehrenburg i Simonow, mogli bezkarnie atakować kanony socrealizmu, domagając się większej swobody dla twórczości literackiej i żądając od literatury „psychologii zamiast technologii". Pogląd, że system ścisłego nadzoru państwowego nad literaturą prowadzi do jej upadku, zdawał się korzystać z oficjalnej aprobaty.

Lecz okres ten minął. Linia polityczna partii dokonała zwrotu w kierunku ortodoksyjnego stalinizmu i pociągnęła za sobą literaturę. Zwiastunem odwrotu stał się długi artykuł A. Surkowa w „Prawdzie", w którym autor wystąpił z ostrą krytyką naturalizmu i innych odchyleń burżuazyjnych w literaturze sowieckiej, przypominając o „konstruktywnych" obowiązkach komunistycznego pisarza. Realizm socjalistyczny, według Surkowa, nie tylko nie obniżył poziomu literatury, lecz przyczynił się do powstania nowych talentów i dzieł o wybitnej wartości literackiej, czego dowodem ma być podana przez autora długa lista znakomitych, jego zdaniem, pisarzy. Artykuł stał się oficjalną dyrektywą dla zjazdu literatów sowieckich, mającego się odbyć na jesieni. Zwolennicy reformizmu nie ucichli wprawdzie całkiem, lecz odzywają się z rzadka i tylko półgłosem.

Przejściowy odpływ stalinizmu w literaturze musiał oczywiście dotrzeć, choć z opóźnieniem, do Polski. I w kraju przez pewien czas mówiono o „nowym wietrze", a ostatnia sesja Rady Kultury dała powód do komentarzy i domysłów. Lecz „nowy wiatr" ucichł niemal zupełnie przed VI zjazdem Związku Literatów. Putrament, idąc w ślady Surkowa, wystąpił w przeddzień zjazdu z artykułem broniącym socrealizmu i odrzucającym pogląd, że pięciolecie od zjazdu szczecińskiego dało tylko miernotę literacką. Na samym zjeździe Ochab dał niedwuznacznie do zrozumienia, że partia widzi jedną tylko drogę przed literaturą w Polsce — drogę twórczości „produkcyjnej". Prezes Zarządu Głównego Związku, Kruczkowski, autor granej ostatnio w Warszawie szmiry scenicznej p.t. „Juliusz i Ethel", opisującej dzieje szpiegowskiej pary Rozenbergów, doszedł, po wielu łamańcach krytycznych, do tego samego wniosku. Dyskusja na zjeździe rozbrzmiewała krytyką i samokrytyką, ale nie było w niej odchyleń od linii generalnej. Wszystko, na co się zdobywali mówcy — to były próby rewizji dotychczasowych zasad socrealizmu, lecz i te próby nie znalazły uznania w oczach delegata sowieckiego, Simonowa, tuby sowieckiej kompartii. Oświadczył on, zapomniawszy o grzechach niedawnej przeszłości, że „metoda realizmu socjalistycznego nie wymaga rewizji, ani też nasza powojenna literatura nie zasługuje na potępienie w czambuł". Nieuznawanie „tendencyjności i partyjności literatury radzieckiej" jest zaprzeczaniem „samej metody realizmu socjalistycznego"... „Kiedy na stronach czasopisma „Nowyj Mir"... krytyk ogłasza, że czytelnika zmęczył warkot maszyn w naszej literaturze i próbuje w istocie obalić wszystko, co napisano u nas po wojnie o klasie robotniczej, to zgodzić się z nim oznaczałoby dla nas wyrzeczenie się samej istoty realizmu socjalistycznego". Roma locuta.

Było to smutne widowisko. Żyją w Polsce wybitni pisarze starszego pokolenia, a i w młodym nie brak było zapowiedzi talentów literackich na dużą miarę. Talenty te, zaprzęgnięte w służbę interesów kompartii, uległy wypaczeniu i zasypały kraj propagandową tandetą. Gdy się czytało wynurzenia niektórych uczestników zjazdu, trudno było oprzeć się wrażeniu, że nawet oddani reżymowi pisarze duszą się w ramach narzuconych im schematów literackich, że widzą przed sobą możliwości twórcze, do których zamyka im drogę nakaz z góry, że tłuką się głowami, jak muchy o szybę, o niewidzialną barierę, przegradzającą im dostęp do światła i świeżego powietrza. Zmęczeni beznadziejną walką milkną, uciekają w przeszłość lub wyciskają z siebie lichotę literacką.

II.

Spróbujmy z cegiełek rozrzuconych w referatach i dyskusji na zjeździe złożyć z grubsza pojęcie powieści socrealistycznej. Tematem powieści musi być, przynajmniej w zasadzie, rzeczywistość współczesna, rzeczywistość „Polski ludowej". Poszukiwanie innych tematów jest możliwe, ale niepożądane, przy czym kryje w sobie niebezpieczeństwo popadnięcia w herezję formalizmu. Innego poglądu bronił na zjeździe J. Bocheński, lecz był to głos odosobniony.

Rzeczywistość, o której mowa, ma być ujmowana pod kątem widzenia „budowy socjalizmu". Niezbędnymi elementami powieści socrealistycznej są przeto traktor, spółdzielnia produkcyjna, walka z kułakiem, elektryfikacja, współzawodnictwo socjalistyczne, a nade wszystko produkcja. Treść, jednym słowem, musi być „klasowa".

Powieść socrealistyczna powinna mieć swego pozytywnego bohatera. Simonow na zjeździe ostro skrytykował opinię, że podział postaci powieściowych na pozytywne i negatywne zatrąca schematyzmem. „Czyż oceniając wypadki w życiu, nie oceniamy jednych zjawisk jako dodatnich i przodujących, a innych jako zacofanych,... pochwalamy działalność skierowaną na rzecz socjalistycznego budownictwa i potępiamy postępki, które szkodzą naszej sprawie... I naturalnie, nikt nam nie zarzuci, że schematycznie podchodzimy do przejawów życia". Istotnie, nikt na zjeździe nie poważył się wystąpić z podobnym zarzutem.

Bohater pozytywny, to — poucza „Nowe Drogi" w numerze przedzjazdowym — „człowiek przodujący naszych dni, budowniczy nowego życia", czyli aktywista partyjny. Pogląd wszakże, że bohater pozytywny ma być uosobieniem samych cnót, został zarzucony. „Nawet przodujący człowiek pracy naszych dni" — piszą „Nowe Drogi" — „jest człowiekiem naszej epoki, epoki przejścia od kapitalizmu do socjalizmu, i nie może być wolny od cech, a więc i wad, tej epoki". Chodzi tylko o to, aby te wady nie były zbyt wielkie i nie było ich za dużo. „Nawet utalentowany i żarliwie oddany sprawie partii pisarz nie osiągnie celu, który sobie stawia, jeśli w dążeniu do uczłowieczenia swych bohaterów pozytywnych obdarzy ich w sposób naturalistyczny nadmiernym ładunkiem wad". Pisarz sowiecki Panferow został niedawno zwolniony ze stanowiska redaktora jednego z czasopism literackich, ponieważ w swej ostatniej powieści przedstawił wysokiego dygnitarza partyjnego jako pijaka. Istota rzeczy polega na tym, aby bohater stopniowo przezwyciężał swe wady, walcząc „nie tylko z wrogiem klasowym, ale i z obciążeniami własnej psychiki". Przy końcu książki musi on już być z tych obciążeń chemicznie oczyszczony.

Bohaterowi pozytywnemu trzeba przeciwstawić postacie ujemne — niedobitków kapitalizmu, agentów i szpiegów imperialistycznych, kułaków, sabotażystów. Brak ścisłych wskazówek, jak mają być rysowane te postacie, lecz z natury rzeczy wynika, że są to kreatury pozbawione wszelkich cech dodatnich i wszelkich skrupułów, „zimne dranie", nie cofające się przed wyrządzeniem bohaterowi pozytywnemu żadnego świństwa. Dla czytelnika powinno być przy tym jasne, że kreatury te są czymś obcym, naleciałością, wrzodem na ciele społeczeństwa socjalistycznego, nie mogą one czuć się w tym społeczeństwie jak ryby w wodzie. Należy — mówił Simonow — unikać błędu, popełnianego przez niektórych pisarzy socrealistycznych, w których utworach postacie ujemne wyglądały „żywo i krwiście", bohaterowie zaś pozytywni wypadali papierowo.

Dobro musi zwyciężać zło, postęp tryumfować nad reakcją, bohater pozytywny musi zatem przełamać przeszkody i osiągnąć cel upragniony w postaci założenia spółdzielni produkcyjnej lub zwiększenia produkcji przedmiotów powszechnego użytku. W tak pomyślany schemat powieściowy można wpleść dramatyczne szczegóły o rodzinnym życiu bohatera lub intrygę miłosną, z tym jednak zastrzeżeniem, że bohaterka tej intrygi, również ideowa komunistka, choć niekoniecznie członek partii, ulega swemu chevalier sans peur et sans reproche dopiero wtedy, gdy ten spełni swoje produkcyjne posłannictwo.

Autor, który by nie zachował powyższych proporcji w rozstawieniu postaci powieściowych bądź nie dał komunistycznego „happy end'u", popadłby w grzech naturalizmu, co mogłoby być końcem jego kariery pisarskiej. Nie byłby on też mile widziany, gdyby nie dość często, mniej więcej co 3 — 4 strony, nie wspominał o potędze Związku Radzieckiego, jego pragnieniu pokoju i jego „bohaterskiej, bezinteresownej pomocy dla Polski".

Tak powieść socrealistyczna zwalcza nawyki burżuazyjnego myślenia i urabia „świadomość socjalistyczną" czytelnika.

III.

Literatura sowiecka odbija perypetie walki o władzę na Kremlu; ten sam los przypadł w udziale literaturze w Polsce. Stała się ona prymitywnym narzędziem propagandy. Lecz dramat pisarza w Kraju nie polega wyłącznie na tym, że musi się on obracać w ciasnym kręgu schematów, nakreślonych dla jego twórczości przez biurokrację partyjną, naiwnie upraszczać zjawiska życia i ludzkie charaktery. Złem większym jest fałsz, leżący u podstaw realizmu socjalistycznego. Istnieje przepaść między tym, co pisarz z prawdziwego zdarzenia widzi w Polsce, a tym co każe mu się pisać, przepaść między postawą społeczeństwa i jego stosunkiem do narzuconych mu, obcych form życia, a urzędowym, biurokratycznym obrazem tego społeczeństwa. Pisarz, któremu nie wolno szukać własnej prawdy artystycznej, gdyż wzór tej rzekomej prawdy podaje mu instancja partyjna, przestaje być pisarzem, a staje się funkcjonariuszem. Socrealizm niszczy talenty i stwarza grafomanów. Dlatego tylu pisarzy w Polsce, nawet wśród tych, co deklamują o dobrodziejstwach komunizmu, ucieka od teraźniejszości, a gdy droga ucieczki zostaje zamknięta, milknie ustępując miejsca miernocie. Socrealizm grzebie swe cele nawet jako instrument propagandy.

Glossator

VI ZJAZD ZWIĄZKU LITERATÓW W POLSCE

ARTYKUŁ PUTRAMENTA

W przeddzień zjazdu Związku Literatów, który się odbył w dniach 8 — 11 czerwca, ukazał się w „Trybunie Ludu" obszerny artykuł Jerzego Putramenta, poświęcony przeglądowi literatury krajowej za ostatnie pięciolecie. Pięciolecie to datuje się od zjazdu Związku Literatów w Szczecinie ze stycznia 1949 r.; na zjeździe tym proklamowano, jako obowiązującą pisarzy polskich, zasadę realizmu socjalistycznego.

Ton artykułu Putramenta jest na ogół optymistyczny. Uznaje on za niesłuszne liczne głosy, oceniające krytycznie dorobek literacki pięciolecia i dopatrujące się w zjeździe szczecińskim „początku jakiegoś upadku naszej literatury". W ciągu ostatnich lat pięciu ukazało się kilkanaście powieści o wybitnej, zdaniem autora, wartości literackiej, będących dziełem młodego pokolenia pisarzy; autor zalicza do tych powieści „Pamiątkę z celulozy" Neweriego, „Stare i nowe" Rudnickiego, „Bieg do Fragala" Stryjkowskiego, „Piątkę z ulicy Barskiej" Koźniewskiego, „Przy budowie" Konwickiego i wiele innych. Książki te rozeszły się w nakładach wynoszących od 100 do ponad 300 tysięcy, w czym Putrament, niekoniecznie słusznie, widzi dowód ich poczytności; niektóre z nich były tłumaczone na języki obce. Również pisarze starszego pokolenia nie zaniedbali twórczości, ale autor nie przytacza dzieł tych pisarzy z ostatniego okresu. Literatura polska zatem — oświadcza Putrament — nie tylko nie przechodzi kryzysu, lecz, przezwyciężywszy odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i postawiwszy jasno sprawę budownictwa socjalistycznego, znajduje się na najlepszej drodze rozwoju. Młodym pisarzom polskim przyświecały i przyświecają nadal znakomite osiągnięcia pisarzy radzieckich w dziedzinie socrealizmu; pisarze radzieccy dopomagają literaturze polskiej w wychowywaniu szerokich mas, uczą sztuki „prostego, jasnego języka powieściowego, jasnej logicznej kompozycji, umiejętności ukazywania powieściowych postaci i innych elementów sztuki realistycznej..."

Ten jasny obraz współczesnej twórczości literackiej w Polsce nie jest jednak bez plam. Plamą najważniejszą jest unikanie przez pisarzy tematyki współczesnej. „Przeglądając wybitniejsze, ciekawsze książki ubiegłego pięciolecia, bez trudu zauważymy, że większość ich opisuje albo inne kraje albo inne czasy. Stosunkowo niewiele jest poświęconych tzw. „tematyce współczesnej" i z tych ostatnich niejedna grzeszy poważnymi słabościami". Spostrzeżenie o ucieczce pisarzy w sferę innej rzeczywistości daje się, nawiasem mówiąc, zastosować do książek samego Putramenta. Co jest przyczyną tego unikania teraźniejszości? „Niedostateczna znajomość życia dzisiejszej Polski, niezrozumienie prawidłowości jej rozwoju, lęk przed ukazywaniem ostrych, dramatycznych form, w które obfituje przecież nasza rzeczywistość, rzeczywistość rewolucyjna, rzeczywistość bezwzględnej, zaciekłej walki klasowej". Pisarze, zdaniem autora, powinni częściej wyjeżdżać w teren, przebywać na wsi, w fabryce, w szkole, poznawać jednym słowem życie Polski dzisiejszej.

Putrament i jemu podobni dobrze wiedzą, że właściwa przyczyna jest inna. Nie można tworzyć dzieł wartościowych na kanwie fałszów komunistycznej propagandy. Ale o tym mówimy na innym miejscu.

Artykuł był widocznie pomyślany jako wyraz oficjalnych poglądów partii na zadania literatury; jako taki, miał charakter generalnej dyrektywy dla uczestników zjazdu.

OCHAB NA ZJEŹDZIE

„Nowa Kultura" poświęca trzy kolejne numery sprawozdaniu ze zjazdu. Na otwarcie zjazdu przybyło kilku dygnitarzy Politbiura i kilku pisarzy zagranicznych, w tym delegacja sowiecka z Konstantym Simonowym na czele. Bierut był nieobecny, ale jego wielki portret wisiał w otoczeniu biało-czerwonych flag na frontowej ścianie sali zjazdowej. Przemówienie inauguracyjne wygłosił sekretarz KC PZPR, E. Ochab. Ujął on zadania twórczości literackiej w Polsce w sposób, nie pozwalający na żadne formalistyczne bądź idealistyczne odchylenia: przed partią stoją obecnie dwa zadania: — „podniesienie stopy życiowej szerokich mas przez szybszy wzrost produkcji dóbr konsumpcyjnych, a zwłaszcza produkcji rolnej" oraz przyspieszenie kolektywizacji wsi. Literatura, w oparciu o realizm socjalistyczny, powinna służyć wykonaniu tych zadań. Od tego niedwuznacznego ujęcia zadań literatury odbija nieco paradoksalnie oświadczenie, że „dalsza praca twórcza naszych pisarzy oznaczać będzie... wzrost wkładu naszego utalentowanego narodu... do wielkiej międzynarodowej skarbnicy dorobku kulturalnego i artystycznego". Byłby to zaiste wkład „produkcyjny".

REFERAT KRUCZKOWSKIEGO

Te cenne myśli Ochaba rozwijał dość mętnie prezes Zarządu Głównego ZLP, Leon Kruczkowski, w swym referacie sprawozdawczym. W Polsce — zdaniem referenta — dokonała się w ciągu ostatnich lat dziesięciu rewolucja kulturalna, polegająca na udostępnieniu dóbr kulturalnych podstawowym masom narodu. Książka stała się dostępna dla milionów. Lecz sukcesom w dziedzinie upowszechniania utworów literackich nie towarzyszyły równoległe sukcesy w dziedzinie walki o realizm socjalistyczny.

Co to jest realizm socjalistyczny? Jest to — według definicji Kruczkowskiego — „metoda artystycznego odtwarzania rzeczywistości w jej ruchu, w jej rewolucyjnym rozwoju". Walka o realizm socjalistyczny musiała się stać w warunkach polskich walką o „przełom tematyczny". W jaki sposób polityka kulturalna reżymu starała się doprowadzić do tego przełomu? Przez konkursy na określone tematy — odpowiada Kruczkowski — przez organizowanie wyjazdów pisarzy w teren, zamówienia i stypendia na określone prace oraz narady i konferencje.

Czy tego rodzaju inspirowanie pisarzy dało wyniki dodatnie? Kruczkowski ma pod tym względem wątpliwości. „W dotychczasowym okresie walki o realizm socjalistyczny zbyt wiele napisano u nas utworów, które równie dobrze — bez żadnej szkody dla duchowego życia autorów — mogły nie być napisane". Dodajmy, że bez szkody też dla czytelnika. Jedną z przyczyn tego wypaczenia realizmu socjalistycznego było zbyt biurokratyczne rozumienie pojęcia „zamówienia społecznego", z którego znikał przymiotnik „społeczne". Traktowano pisarza jak urzędnika, delegowanego do wykonania czynności służbowej. Było winą pisarzy, że w pogoni za zyskiem materialnym, ulegali tego rodzaju inspiracjom. Inną przyczyną było wadliwe wartościowanie krytyczne dzieł literackich. O przyjęciu książki do druku rozstrzygała nie jej wartość artystyczna, lecz niemal wyłącznie mierniki polityczno-ideologiczne. Ten stan rzeczy zmuszał nieraz do milczenia pisarzy starszego pokolenia.

Co w tym czasie robił Związek? Utworzył przed czterema laty tzw. „sekcje twórcze". Niestety, działalność sekcji, na początku ożywiona, stopniowo gasła, nastąpiło „pewne osłabienie tętna w życiu zarówno twórczym jak i wewnętrzno-związkowym... lakier zaczynał powlekać obraz naszej literatury..." Najsłabszą okazała się sekcja dramatu, zależna od Centralnego Zarządu Teatrów; błędy tej instytucji sprawiły, że „nazajutrz po festiwalu sztuk współczesnych" nastąpił „powszechny niemal odwrót do tematyki historycznej". Nie lepiej wyglądała sprawa powołanej do życia przez Zarząd komisji krytyki; komisja ta zaznaczyła swe istnienie w dwóch tylko uchwałach Zarządu Głównego: powołującej i likwidującej.

Zdawałoby się, że te uwagi krytyczne zbliżają Kruczkowskiego do niebezpiecznej krawędzi, za którą kończy się socrealizm i zaczyna herezja swobodnej twórczości; czyni on jeszcze jeden słaby krok w tym kierunku, oświadczając, że „nie rezygnując ani na jotę z postulatu realizmu socjalistycznego... winniśmy widzieć również obszar innych jeszcze możliwości realistycznej literatury i sztuki w Polsce Ludowej". Lecz odwrót następuje w porę. „Walka o realizm socjalistyczny" — stwierdza kategorycznie Kruczkowski w zasadniczym punkcie swego referatu — „była, jest i pozostanie nadal głównym łożyskiem naszego życia literackiego oraz najważniejszą wytyczną działalności Związku". Nie zasada jest winna, lecz złe wykonanie. Walka przeciw „bezideowości w literaturze i przeciw ideologii wstecznej, schyłkowej, wrogiej naszemu życiu, przeciwko bezduszności formalizmu, przeciwko naturalistycznej ograniczoności widzenia wszystkiego z osobna" musi trwać nadal. Głosy, które się odezwały ostatnio, przypisujące partii tendencje odwrotu od socrealizmu są całkowicie błędne. „Zjazd nasz przyczyni się do rozproszenia zamętu i wyjaśnienia nieporozumień, wywołanych przez kwietniową sesję Rady Kultury i Sztuki".

Realizm socjalistyczny, „literatura produkcyjna", jest nakazem partii, którego łamać nie wolno. Na innym miejscu piszemy, jak w Rosji Sowieckiej, po krótkim okresie ataków na socrealizmu, nastąpiła kontrofensywa i duch Żdanowa w literaturze odżył w całej okazałości.

REFERAT BRANDYSA I DYSKUSJA

Po referacie Kruczkowskiego wygłosił niezwykle wodnisty referat K. Brandys, deklarując się oczywiście jako niezachwiany zwolennik socrealizmu, lecz poddając równocześnie ostrej krytyce dotychczasową działalność reżymu. „...Marnowano tony papieru na wydawanie książek pozbawionych wszelkiej wartości. Jeszcze dzisiaj dreszcz przejmuje na myśl, jaką to mierzwę podnoszono do rangi literatury... Temat, czy rocznicowa data, lub doraźne zamówienie administracyjne, stawały się w wielu wypadkach biletami, które wystarczyło okazać, aby „wejść do literatury". Za te zbyt dosadne słowa Brandys dostał naganę od Putramenta.

W przeciwstawieniu do artykułu Putramenta w „Trybunie Ludu" Brandys uważa, że w okresie lat 1945-47 powstały dzieła literackie znacznie większej wartości niż w okresie po zjeździe szczecińskim. „Postulaty realizmu socjalistycznego wysunięte przez partię... szereg pisarzy zastały nieprzygotowanych". Poglądowi, że okres socrealizmu w Polsce jest okresem upadku literatury, trudno odmówić słuszności.

W dyskusji, jaka się rozwinęła po referatach, odzywały się od czasu do czasu śmielsze akcenty, lecz wszyscy mówcy wystrzegali się pilnie przekroczenia granicy, za którą kończy się dozwolona, choć niemile widziana krytyka, a zaczynają „burżuazyjne odchylenia". Toteż przeważna część przemówień była wariantami na tematy poruszone przez Kruczkowskiego i Brandysa. Przytaczamy niektóre charakterystyczne oświadczenia.

Przyboś narzekał na biurokratyzm w sztuce. „Spustoszenie wyrządzone przez niwelujący biurokratyzm w sztuce, przez poprawiaczy, popsujów nie rozumiejących i nie miłujących sztuki, jest więc olbrzymie. Przecież do niedawna ukazywały się artykuły dyskusyjne, z którymi nikt z szanujących logikę myślenia nie mógł wdawać się w spór. Toteż czy zauważyliście, że wielu żywych przedtem dyskutantów zamilkło?". Mówca nie rozumie, że socrealizm nie jest nowym kierunkiem czy prądem w sztuce, lecz nakazem propagandy.

Jastrun odwoływał się do przeżytków burżuazyjnych. „...Czytelnik... wykształcony jest na wielkiej poezji wieków minionych, zna Mickiewicza i Słowackiego, poszukuje teraz daremnie w księgarniach poezji genialnego Norwida". Skarżył się również na odrywanie go od pracy przez ciągłe posiedzenia. „Administracja związkowa rozrosła się nadmiernie na szkodę literatury".

Lichniak, katolik reżymowy, przemawiając, jak oświadczył, we własnym imieniu, złożył zjazdowi ofertę współpracy. Oferta nie wywołała entuzjazmu uczestników zjazdu, jedynie Putrament poklepał niefortunnego mówcę po ramieniu, oświadczając, że „mnie osobiście jego (Lichniaka) wypowiedź podobała się".

St. R. Dobrowolski starał się rozwiać nieporozumienia powstałe z powodu pogłosek o tzw. „nowym wietrze" w literaturze, lecz przytoczył również ciekawy szczegół. „Poszedłem do „Stańczyka" i tam z zainteresowaniem niesłychanym obejrzałem i wysłuchałem jednej z pozycji repertuarowych. Sprawa szła o to, który Słowacki prawdziwy. Mała dziewczynka, uczennica szkoły średniej, ucząca się ze znanego nam skądinąd podręcznika, zakłopotana była niesłychanie, który właściwie Słowacki prawdziwy; czy ten, który w wulgarny sposób interpretowany ma być bojownikiem o socjalizm i demokrację ludową, czy ten, który jest rzeczywiście poetą. I pokazano nam dwóch Słowackich: jednego cytującego brednie z najgorszych podręczników, i drugiego, który recytował wybrane teksty, tylko o kaskadach, słowikach, szaletach szwajcarskich — i nic więcej. Wydaje mi się, że ani jeden z tych dwóch Słowackich nie jest prawdziwy".

Ta historyjka charakteryzuje nastroje społeczeństwa.

Putrament usprawiedliwiał się, dlaczego po dziś dzień nie zabrał się do tzw. tematyki współczesnej. „Wojnę spędziłem w Związku Radzieckim, parę miesięcy po wojnie wyjechałem za granicę i chociaż tu przyjeżdżałem, to jednak przez pięć lat byłem za granicą". Nie zdążył więc poznać rzeczywistości współczesnej Polski. Nie mniej jest pełen zapału, nawołując do związania literatury „z naszym ludem, z naszym terenem, z naszą wsią ...więcej pisarzy w teren, więcej pisarzy na wieś... Frontem do wsi!"

Tak jest, więcej kołchozów, nierogacizny, sekretarzy komitetów gminnych, nawozów sztucznych, azotniaku! Evviva l'arte!

Jacek Bocheński próbował uzasadnić tezę, że o socrealistycznej wartości dzieła nie decyduje bynajmniej temat. „Jeżeli wartość moich opowiadań kończy się na tym, że prawidłowo i w dobrym świetle w książce przedstawiona została polityka partii oraz spółdzielnia produkcyjna, jest to wartość znikoma... Udział pisarza w walce o socjalizm na wsi widzę nie w tym, że pisarz umie wprost zachęcać chłopów do wstępowania do spółdzielni. Głównie zadanie pisarza — to wszelkim możliwym sposobem — tak przekształcać chłopską duszę, aby chłop wyzbył się mentalności drobnego posiadacza, aby przyswoił sobie etykę socjalistyczną, aby nie marzył o posiadaniu morgów, a gdy wstąpi do spółdzielni, aby w niej nie kradł". Wartość wybitniejszych powieści ostatniego okresu polega nie na ich tematach, lecz na istnieniu w nich idej, „zdolnych ulepszyć człowieka, zdolnych tak na człowieka oddziałać, że będzie on lepszym budowniczym socjalizmu". Całe szczęście, że literatura socrealistyczna nie potrafi tego dokonać.

Zjazd zamknęły przemówienia Kruczkowskiego i Brandysa, rekapitulujące wyniki jałowej w istocie rzeczy dyskusji.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Audiencje w Watykanie. Ojciec św. przyjął 13 lipca w swojej bibliotece prywatnej króla Jordanii Husseina Talala I, któremu wyraził życzenia dla narodu Jordanii i w szczególny sposób polecił katolickich poddanych.

Tegoż dnia przyjął Papież pierwszego ambasadora Urugwaju dra Alfreda Carbonell Debali'ego, w dwa dni później pierwszego ambasadora Panamy dra Enrique Ismael Boyda — obydwa te państwa podniosły swe przedstawicielstwa przy Stolicy Apostolskiej do rangi ambasad i obydwaj ambasadorowie wręczali swe papiery uwierzytelniające. 17 lipca ambasador Federalnej Rzeczypospolitej Niemieckiej dr Wolfgang Jaenicke wręczył swe papiery uwierzytelniające Ojcu św. Nowy ambasador niemiecki w roku 1919 był z ramienia rządu Rzeszy i Prus komisarzem Rzeszy i Prus dla wykonania traktatu wersalskiego na tych terytoriach, które miały być odstąpione państwu polskiemu.

Sytuacja Jerozolimy. Pod tym tytułem „Osservatore Romano" w numerze z 15 lipca zamieścił artykuł wstępny. Powodem nowego zajęcia się sprawą miasta, uświęconego w specjalny sposób ziemskim pobytem Chrystusa Pana na ziemi, są wypadki od wieczora 30 czerwca do popołudnia 2 lipca, w czasie których użyto broni automatycznej i moździerzy, czego ofiarą padło wielu zabitych i dziesiątki rannych. Gwałtowność walk i ich długotrwałość wywołują słuszną obawę, że walki takie mogą wywrodzić się w konflikt poważniejszy, który spowodowałby katastrofalne następstwa. Te ostatnie „incydenty", jeśli wolno użyć wyrażenia eufemistycznego, przypominają światu niepewną i niebezpieczną sytuację Świętego Miasta. Smutne wypadki mogą się powtórzyć każdej chwili, ponieważ trwają wciąż te same przyczyny, które spowodowały wypadki ostatnich dni. Sytuacja Jerozolimy jest bardzo krytyczna i jest nie tylko zagrożeniem pokoju, ale stałą i bardzo poważną groźbą dla całości miasta i Miejsc Świętych. Autor artykułu kończy stwierdzeniem, że wobec tej sytuacji pokazuje się jeszcze raz, jak mądre jest rozwiązanie tylokrotnie wskazywane przez Ojca św., które by jedynie dawało wystarczające gwarancje dla zachowania Jerozolimy i Miejsc Świętych, mianowicie: prawdziwe i rzeczywiste umiędzynarodowienie Jerozolimy i jej okręgu.

750 książek katolickich w Stanach Zjednoczonych. W roku 1953 ukazało się w druku w Stanach Zjednoczonych ponad 750 książek katolickich, wśród nich dziesięć, które przez Stowarzyszenie Bibliotek amerykańskich zostało zaliczone do 52 książek religijnych uznanych za szczególnie wartościowe. Jedną z tych dziesięciu książek jest praca „Saint for Now" ambasadorki Stanów w Rzymie, Clare Booth Luce.

Jubileusz dziennika katolickiego. Szwajcarsk. „Schaffhauser Zeitung" obchodził w pierwszych dniach lipca 50-lecie swego istnienia. Wychodzenie tego katolickiego dziennika w kantonie przemysłowym ma wielkie znaczenie ze względu na katolików, których w wielkiej ilości osiedleni są w tym kantonie.

Ilu jest jezuitów? Kanonizowany w czerwcu św. Józef Pignatelli był jakby pierścieniem łączącym Towarzystwo Jezusowe z czasów przed kasatą i po reaktywowaniu działalności Towarzystwa. W roku jego kanonizacji jezuici liczą 32 tysiące członków, 8 asystencyj, 57 prowincyj i wiceprowincyj, 87 domów nowicjatu, 276 szkół średnich, 132 wyższych i uniwersyteckich (wśród nich 37 seminariów wyższych i 30 seminariów niższych), 187 domów rekolekcyjnych, gdzie osoby przybywające odbywają rekolekcje zamknięte przez kilka dni sławną metodą św. Ignacego Loyoli; 1320 czasopism różnego rodzaju. Na skutek prześladowań poza żelazną kurtyną Towarzystwo Jezusowe poniosło wielkie straty: od 1947 roku 87 domów, z tego 11 kolegiów z 2 uniwersytetami i 7 seminariami.

Towarzystwo Jezusowe przed dwustu laty, gdy wstępował do niego św. Józef Pignatelli, w roku 1753, liczyło 22.126 członków, z tego 10.594 księży, 6 asystencyj, 49 prowincyj, 578 kolegiów. Potem przyszło prześladowanie w różnych krajach, wygnanie i kasata. W 3 lata po śmierci św. Józefa Pignatelli'ego było około 600 członków w 2 prowincjach.

Subskrypcja na rzecz budowy kościoła. Konfederacja Robotników Chrześcijańskich w Belgii rozpisała subskrypcję na pokrycie wydatków związanych z budową kościoła Chrystusa Króla w Gand. Uzyskano sumę 3 milionów franków belgijskich.

VI kongres katolickich lekarzy. W Dublinie odbył się VI kongres międzynarodowy lekarzy katolickich. Poprzednie odbyły się: w Wiedniu (1936), Brukseli (1937), Lizbonie (1947), Rzymie (1949), Paryżu (1951). Tematem obrad tegorocznego kongresu było zagadnienie demografii w praktyce lekarskiej, oświetlone pod kątem widzenia: ogólnym, położniczo-ginekologicznym, psychologicznym i socjalnym. Omówione zostały m. in. problemy związane z kontrolą urodzin, sterylizacją, środkami antykoncepcyjnymi, używaniem energii atomowej. Kongres dubliński przez wyniki obrad wyspecjalizowanych znawców wiedzy medycznej poparł tradycyjną doktrynę katolicką w sprawach poruszonych, a jego wnioski powinny być wzięte pod uwagę przez Konferencję Ludnościową, która odbędzie się z inicjatywy Organizacji Narodów Zjednoczonych we wrześniu w Rzymie.

KS. KAMIL KANTAK

ŻYCIE RELIGIJNE POLAKÓW W LIBANIE

Uchodźcy polscy w Libanie przebywali w latach 1943-50.*) Liczba ich obejmowała w najwyższym stadium 5 - 6 tysięcy. Pod względem kościelnym stanowili własny dekanat polski, składający się z 8 parafii w poszczególnych ośrodkach. Dziekaństwo sprawował ks. dr Kantak. Był to najliczniejszy zastęp łacinników w kraju. Doznawali starannej opieki Delegata Apostolskiego Mgr. Leprêtre, po nim Nuncjusza ś. p. Mariny i administratorów arcybiskupstwa oo. V. Pruvot i A. Escoula tudzież wikariusza generalnego o. Justa Saleigh. Uznając tę daleko idącą życzliwość Rząd Polski odznaczył tych dostojników orderami. Na wyjezdnym Mgr. Leprêtre pozostawił 7.000 funtów libańskich dla uchodźców, a księża polscy rozdzielili je pomiędzy potrzebujących. Z zadowoleniem podnosimy, że przez cały czas władze duchowne nie miały kłopotów ani z księżmi ani z wiernymi.

Duszpasterstwo i duchowieństwo znajdowało pomoc i oparcie u władz naszych oraz u ogółu uchodźstwa, spośród którego niektóre osoby rozwinęły osobliwie owocną i pożyteczną działalność. Okrom pp. Czosnowskiego i Świątkowskiego wymieniamy panią Scazeghino a najbardziej ś. p. p. A. Miklasiewiczową. Jej księża nasi zawdzięczają hojne zaopatrzenie w aparamenta i przybory liturgiczne. Jako uznanie swojej dobroczynności i innych zasług otrzymała, staraniem ks. Kantaka, w styczniu 1949 odznaczenie papieskie Pro Ecclesia et Pontifice, wręczone z solennością przez administratora diecezji o. Pruvot.**)

Od września r. 1946 do końca 1947 dekanat przy pomocy pieniężnej Poselstwa i Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie wydawał miesięcznik „Wiadomości Katolickie". Pismo zawierało orędzia i głosy dostojników duchownych, artykuły dotyczące aktualnych spraw religijnych, informacje liturgiczne, kronikę miejscową, wiadomości z kraju i świata. M. in. podano obszerne wyjątki z wspomnień N. Koriakowa, ogłaszane właśnie w prasie francuskiej. Pismo początkowo tłoczono, ostatnie zeszyty wydano na powielaczu. Wskutek coraz liczniejszych wyjazdów uchodźców wypadło zwinąć „Wiadomości". Redagował je p. W. Świątkowski.

Sposób odprawiania nabożeństw odpowiadał dokładnie zwyczajom polskim, za przyzwoleniem Delegata Apostolskiego. Co niedzielę bywała Suma z kazaniem, której towarzyszył śpiew wiernych, po południu błogosławieństwo z wystawieniem. W dzień powszedni Msza św. ranna. Spowiedzi słuchano oprócz rana także po południu w wigilie świąt i pierwsze czwartki. Księża udzielali chrztów, odwiedzali chorych, więźniów, nieszczęśliwych, odprawiali pogrzeby. Ochrzczono kilku dorosłych Żydów, przyjęto konwersję kilku prawosławnych i protestantów.

Nabożeństwa okresowe przypadały w pierwsze piątki miesiąca, Roraty w grudniu, popołudniowe w maju, czerwcu, październiku. Podczas Wielkiego Postu w niedziele Gorzkie Żale, w piątki Droga Krzyżowa, przed Wielkanocą w każdym ośrodku rekolekcje z wspólną spowiedzią i Komunią św. Rezurekcja z procesją, Boże Ciało z procesją do czterech ołtarzy. Na Boże Narodzenie i w Dzień Zaduszny trzy Msze św., na Zaduszki — żałobne nabożeństwo na cmentarzu. Obchodzono poszczególne uroczystości: pierwszą Komunię św., bierzmowanie, święta narodowe, żałobne nabożeństwa w rocznice zgonów Piłsudskiego i Dmowskiego, w dziesięciolecie Paderewskiego, na stulecie Słowackiego. Dnia 15 kwietnia 1946 metropolita grecko-katolicki odprawił uroczyste nabożeństwo za dusze pomordowanych biskupów i księży unickich, w czerwcu kardynał patriarcha ormiański celebrował w dziesięciolecie ślubów jasnogórskich, oba z polskimi przemówieniami. Kilkakrotnie odbywano pielgrzymki do Matki Boskiej w Bikfai, do Matki Boskiej Libańskiej w Harisie, w r. 1949 i 1950 do relikwii o. Charbela w Annai.

W każdym ośrodku istniało przynajmniej jedno stowarzyszenie pobożne: dla młodzieży i dzieci sodalicje, kółka ministrantów, Krucjata Eucharystyczna; dla dorosłych Żywy Różaniec, chór kościelny, Tow. Młodzieży Żeńskiej, Akcja Katolicka. Nieliczni Polacy należeli do miejscowych Trzeciego Zakonu lub Twa Św. Wincentego à Paulo.

Największą żywotność wykazywała Sodalicja żeńska akademicka. Założona przez ks. Malinowskiego, miała najlepszy okres za moderatora ks. Rubina. Urządziła akademię papieską, o której wzmiankowało nawet „Osservatore Romano", wieczór dyskusyjny dotyczący prawa małżeńskiego, rekolekcje zamknięte w obozie letnim w górach. Szczególnie uroczyście obchodzono przyjmowanie nowych członkiń.

Szpital polski miał swego kapelana w osobie ks. Siepaka. Urządził on kaplicę, odprawiał nabożeństwa w niedzielę, Mszę św. nieraz w dzień powszedni. Korzystał z nich cały personel. Później z większą intensywnością chorymi się opiekował ks. Rubin, na końcu ks. Wilniewczyc.

W takich ramach duszpasterskich toczyło się życie polskie w Libanie. Jeśli zapytać o stan religijności wiernych, to należałoby mieć na uwadze osobliwe dane pobytu uchodźstwa. Polacy żyli z zasiłku, nie z pracy. Jeszcze kobiety miały choćby szczupłe zajęcia domowe, młodzież chodziła do szkoły. Atoli mężczyźni, „przemienieni kołodzieje", pozostawali bez tego normalnego bytowania, jakim jest praca zarobkowa. Niewielki odsetek znajdował zatrudnienie w organizacji uchodźstwa; niewielki umiał czas zająć lekturą, kształceniem, kursami, zwłaszcza nauką języków, których nieznajomość odbijała się ujemnie na widokach zarobkowych w krajach ostatecznego osiedlenia. Odpadały zatem zatargi między pracodawcami a pracobiorcami i ich ujemne strony moralne. Atoli nieróbstwo wywoływało dużo złego: pijaństwo, waśni, gniewy, rozwiązłość, obmowy, plotki, donosicielstwo itp. Ujemnie ważąc na stronie moralnej, te rzeczy prowadziły do atrofii życia religijnego, do zaniedbania Sakramentów i praktyk pobożnych, w wyjątkowych wypadkach do apostazji.

Istniały wszelako i dodatnie przyczyny, ożywiające religijność. Dobry przykład księży, sumienne odprawianie nabożeństw, gorliwość, opieka nad wiernymi przynosiły owoce. Kilkoro osób na stanowiskach przodujących sprawiało wiele dobrego: pp. Czosnowski, prof. Kościałkowski, wicekonsul Kowalski. Poseł p. Zawadowski i Delegat p. Kocuper regularnie bywali na polskich nabożeństwach. Poseł w „Przelotem" wzywał Polonię do pilnego uczestniczenia.

Najżywszą działalność rozwijał niestrudzony p. Świątkowski. Wydatnio także ożywił życie religijne p. T. Birecki, przebywając w Libanie w r. 1947. Miewał odczyty po wszystkich ośrodkach, m. in. dla kleryków mówił o ś.p. ks. Pawłowskim, stawiając przed oczy seminarzystom przykład świątobliwego proboszcza wiejskiego, „polskiego ks. Vianney". Jako przedstawiciel organizacji „Marianum" uzyskał dla jej działalności błogosławieństwo Mgr. Leprêtre i przyczynił się walnie do wieczoru z „Ślubami Jana Kazimierza". Wydał polski przekład publikacji „Niech dzień nasz będzie Mszą św." i kilka pomniejszych tłoczeń.

Księża starali się wszelkim sposobem pobudzić religijność. Kazaniami, odczytami, artykułami po różnych pismach bogacili intelekt i pogłębiali zrozumienie wiary. Ks. Rubin zorganizował godziny biblijne.

Jeżeli uwzględnić nadto dane ogólne, nastrój Polaków daleko bardziej religijny niż np. Wielkiej Emigracji, jeśli przypomnieć powszechną wdzięczność wobec Boga za wybawienie z niewoli bolszewickiej, dochodzimy do wniosku, że poziom życia katolickiego był przyzwoity. Frekwencją nabożeństwa cieszyły się znaczną. Ilość niepraktykujących w Bejrucie oceniano na 10 — 15 %; z ubolewaniem stwierdzamy, że najsłabiej uczęszczała do kościoła młodzież akademicka męska. Po ośrodkach rzeczy wypadały pomyślniej: w spowiedzi wielkanocnej uczestniczyli niemal wszyscy, w takim Zuku do miesięcznej Komunii św. przystępowało do 75%.

Nie żałowano grosza na jałmużnę. W setki liwrów szły paczki zbiorowe, wysyłane do Caritas w Polsce, w tysiące składki na stacje Jerozolimskiej Drogi Krzyżowej, p. Zawadowski stał na czele komitetu, o. Malinowski wystarał się w r. 1946 o drzewo cedrowe na ołtarze kaplic.

Więc też opinię u ludności miejscowej Polacy zyskali sobie dobrą. Pobożność widoma, tłumny udział w nabożeństwach, pieśni chóralne, sumienne święcenie niedzieli budowały. Na pamiątkę pobytu Polacy ghazirscy ufundowali tablicę w kościele oo. jezuitów. Delegat Apostolski, biskupi, duchowieństwo miejscowe stawiały nas za przykład swoim wiernym. Niezawodnie była w tym doza wschodniej przesady i komplementu, wszelako nie wszystko wolno doń zaliczyć.

Ks. Kamil Kantak

*) Rozdział z „Dziejów uchodźstwa polskiego w Libanie", które się ukażą niebawem.

**) Zmarła 29 grudnia 1952. Staraniem Posła Rzeczypospolitej otrzymała także Złoty Krzyż Zasługi.

„DROGI CICHOCIEMNYCH" PO ANGIELSKU

„OSTATNI Z NIEWIELU". Pod tym tytułem „Times Literary Supplement" z 16 lipca zamieszcza obszerną recenzję książki o spadochroniarzach Polskiej Armii Krajowej, która pt. „The Unseen and Silent" ukazała się w przekładzie na język angielski, dokonanym przez Jerzego Iranek-Osmeckiego. Recenzja utrzymana jest w tonie bardzo przychylnym.

„W czasie wojny — pisze recenzent — 3.000 ludzi z Polskich Sił Zbrojnych w W. Brytanii zgłosiło się ochotniczo z tym, że pragną być zrzuceni ze spadochronów celem wzmocnienia polskiej armii podziemnej. Ponad 300 wysłanych zostało tą drogą w 4-letnim okresie od r. 1941-1944; był to zespół ludzi starannie dobranych, z rangami od podoficerów do generałów włącznie. Liczba ich z konieczności była ograniczona z powodu niedostatecznej ilości samolotów będących do dyspozycji i z powodu długości lotów operacyjnych z baz brytyjskich do Polski Środkowej; potrzeba było długich nocy i światła księżycowego dla zmniejszenia strat i wyszukiwania „ważnych urzędów", jak nazywano strefy zrzucania. Po r. 1944 zwycięstwo we Włoszech dostarczyło baz mniej odległych i pozwoliło na częstsze loty operacyjne.

„Kiedy Polska zajęta została przez wojska sowieckie, 80 z tych ludzi, którzy dożyli do tego czasu, udało się uniknąć przytrzymania i deportacji i powrócić do Wielkiej Brytanii. Żyją oni obecnie w wolnym świecie jako wygnańcy. Świeżo wydana książka stanowi zbiór ich wspomnień. Napisana przez 30 mniej więcej współpracowników zawiera ich opisy przeszłych wydarzeń oraz wyciągi z diariuszy i pamiętników. Autorzy nie ujawniają swej tożsamości; posługują się pseudonimami, których używali w podziemiu; w ten sposób nadal pozostają „niewidzialni", choć już nie „milczący"! To, co piszą, nacechowane jest osobistą, ludzką bezpośredniośnią i uczciwością. Przyczynki zgrupowane są w rozdziały i połączone wyjaśniającymi dopiskami, anonimowego redaktora, który sam jest jednym z nich. W ten sposób powstało zwarte i dobrze obmyślane opowiadanie. Książce dali swój patronat generał Anders oraz generał-major Sir Colin Gubbins, który odegrał bardzo ważną rolę w organizowaniu i planowaniu „operacji specjalnych".

Autor recenzji streszcza później książkę, poświęcając szczególną uwagę przyjęciu, jakiego doznawali spadochroniarze w Polsce, i późniejszej ich działalności w armii podziemnej.

„Wszystkie sprawozdania są kornymi hołdami dla niezłomnego ducha narodu polskiego" — pisze recenzent i przytacza z książki to zdanie: „Jakąż odwagę, energię i wytrwałość miała ta cząstka ludzkości między Niemcami a Rosją".

„Raporty przynoszą bardzo wiele dowodów jedności narodu w jego walce, wzrastającej siły armii podziemnej i panowania tajnego państwa nad życiem narodowym."

W zakończeniu recenzji mowa jest o powstaniu warszawskim; w książce znajdują się opowiadania dwunastu ludzi, którzy w nim wzięli udział. Czytelnik — stwierdza recenzent — zgodzi się z tym sądem gen. Gubbinsa: „Dzieje tej bitwy są epopeją wytrwałości i odwagi w ich najczystszej postaci, w warunkach przechodzących wszelkie wyobrażenie; opowiadanie nacechowane jest przeciągającą się niepewnością i cierpieniem jak żadne inne".

„Drogi Cichociemnych" wyjdą za parę tygodni w polskim wydaniu. Drukarnia „Veritas" ukończyła właśnie druk ostatniego arkusza książki.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

DWA LISTY CHOPINA WE FRANCJI. „Figaro Littéraire" (z dnia 3 lipca) podkreśla, że na odbywającej się obecnie w Bibliothèque Nationale w Paryżu wystawie, obrazującej życie i twórczość George Sand, brak co najmniej jednego listu, a raczej pół-listu, który znalazł się za to na wystawie zabytków okresu romantyzmu w zamku Nyon, nad brzegami Lemanu.

List ten datowany jest z Marsylii 21 maja 1839 i adresowany do przyjaciela Chopina, Wojciecha Grzymały, przebywającego wówczas w Polsce. Początek listu, w języku polskim, skreślony został ręką Chopina; zakończenie jest po francusku, dopisała je George Sand.

Sam Chopin jest za to autorem innego listu, wystawionego również w zamku Nyon; list ten, datowany z Valdemosy na Majorce dnia 22 stycznia 1839, skreślony jest do Camille Pleyela, wydawcy dzieł muzycznych Chopina.

„Za tę balladę — pisze w nim Chopin — pragnę mieć tysiąc franków — na Francję i na Anglię. Mam dwa polonezy, z których jeden pan zna: tysiąc pięćset na wszystkie kraje globu ziemskiego".

Postskrypt tego listu brzmi: „Excusez mon ortographe" („proszę mi wybaczyć moją ortografię"). Autor notatki w „Figaro Littéraire" robi uwagę, że w liście nie ma ani jednego błędu, który by ten dopisek usprawiedliwiał.

LUDZIE DESPOTYCZNI NIE LUBIĄ KOTÓW. Pamiętniki Jamesa Boswella, które cieszą się tak ogromnym powodzeniem w Anglii i w ściślejszej ojczyźnie Boswella, Szkocji, ukazać się mają wkrótce w przekładzie francuskim. Dla Francuzów szczególnie interesujący jest opis spotkania Boswella z Rousseau, którego młody Szkot odwiedził w r. 1764 w Mottiers-Travers, ówczesnej siedzibie filozofa „umowy społecznej". Opis ten przytacza w ostatnich swych numerach „Figaro Littéraire" łącznie z dosłownymi niemal — jak się zdaje — tekstami rozmów, które się między nimi odbywały.

Między Rousseau a Boswellem wywiązała się w pewnym momencie dyskusja na temat odmiennego we Francji i w Anglii pojmowania godności osobistej. Oto niektóre jej fragmenty:

B o s w e l l. — W Anglii jest się sztywnym i milczącym, by tą drogą zyskiwać szacunek.

R o u s s e a u. — Ludzie wytworni we Francji nie mają tyle melancholii. Przeciwnie, istnieje nawet przesada w kierunku jak największej swobody, jakby ludzie ci chcieli dać do zrozumienia, że nie obawiają się utracić swej godności. Jest to najbardziej wyrafinowana postać szacunku dla samego siebie.

B o s w e l l. — A czy Pan go nie doświadcza?

R o u s s e a u. — Owszem, przyznaję, że lubię być respektowany, ale tylko w zakresie spraw ważnych... Czy lubi Pan koty?

B o s w e l l. — Nie.

R o u s s e a u. — Byłem tego pewny. Właśnie na tym opieram się przy wydawaniu sądów o charakterach. Niewątpliwie wobec tego ma pan instynkt despotyczny. Ludzie despotyczni nie lubią kotów, ponieważ kot jest wolny i nigdy nie zgodzi się na to, by zostać niewolnikiem. Nigdy nie będzie Panu posłuszny tak, jak to czynią inne zwierzęta.

B o s w e l l. — Ale tak samo i kura.

R o u s s e a u. — Kura będzie posłuszna, jeśli zrozumie rozkazy. Ale kot zrozumie Pana doskonale i mimo to nie posłucha Pana.

B o s w e l l. — Koty są niewdzięczne i zdradzieckie.

R o u s s e a u. — To zupełna nieprawda. Kot jest zwierzęciem, które może być do Pana bardzo przywiązane; przez przyjaźń zrobi wszystko, co może, by Panu zrobić przyjemność. Mam tu swojego kota. Został on wychowany razem z mym psem; wspólnie się bawią. Kot uderza psa swym ogonem, a pies podaje mu łapę.

Rousseau następnie w sposób wymowny opisał — niczym dobry malarz robiący szkic — zabawy swego psa i swego kota.

MAUGHAM O BALZACU. W swej nowej książce o dziesięciu najwybitniejszych powieściach świata, której wyjątki drukuje obecnie „Sunday Times", Somerset Maugham wiele miejsca poświęca charakterystyce życia i twórczości Balzaca.

Balzacowi — stwierdza Maugham — odpowiadała instynktownie idea, że każdy człowiek ma jakąś dominującą namiętność. Idea ta pociągała zawsze powieściopisarzy, gdyż pozwala im ona użyczać dramatycznej siły wytworom ich wyobraźni. Postacie te rysują się w sposób pełen życia, a czytelnik, od którego nie wymaga się niczego poza tym by wiedział, że są to skąpcy lub rozpustnicy, łupieżcy czy święci, rozumie je bez żadnego wysiłku. Dzisiaj, w dużej mierze dzięki powieściopisarzom, którzy pragnęli zainteresować nas psychologią swych bohaterów, nie wierzymy już w to, by ludzie byli „z jednej bryły". Wiemy, że składają się oni z elementów sprzecznych i nie dających się ze sobą pogodzić — i właśnie te niezgodności intrygują nas, a ponieważ czujemy je w nas samych, wzbudzają naszą sympatię. Najwybitniejsze postacie Balzaca ukształtowane są wedle wzoru tych dawniejszych pisarzy, którzy charakteryzowali każdego człowieka wedle jego kierowniczego usposobienia. Dominująca u bohatera powieści namiętność pochłaniała ich do tego stopnia, że wyłączali wszystko inne. Bohaterowie ci są uosobionymi popędami; są oni jednak przedstawiani z tak zdumiewającą siłą, masywnością i wyrazistością, że nawet nie wierząc w nich nie możemy ich zapomnieć.

CZY ISTNIEJE ŻYCIE NA MARSIE? Uczeni zajęci są obecnie szczegółowym badaniem 50.000 kolorowych fotografii Marsa, które wykonano w Południowej Afryce w pierwszych dniach lipca br., kiedy planeta ta, po raz pierwszy od lat piętnastu zbliżyła się do ziemi na odległość 40 milionów mil. Zdaniem uczonych fotografie te wykazują, że powierzchnia Marsa uległa zmianom, ale nic jeszcze bliższego powiedzieć o tym nie można.

Dr E. C. Slipher z obserwatorium w Flagstaff, w stanie Arizona, który jest kierownikiem zespołu uczonych amerykańskich w Bloemfontein w Unii Południowo-Afrykańskiej, oświadczył, że być może obserwacje tegoroczne ostatecznie rozstrzygną kwestię, czy istnieje życie na Marsie.

REUMATYCZNI RZYMIANIE

Ogrodnik z Bath, p. Hunt, orząc natrafił na starą trumnę z czasów rzymskich. Trumnę zabrano do departamentu anatomii na uniwersytecie bristolskim, gdzie znaleziony w niej szkielet oczyszczono i poddano dokładnym badaniom.

Kierownik tego departamentu prof. J. M. Joffey oświadczył, że jest to szkielet Rzymianina, który cierpiał na chroniczny reumatyzm i prawdopodobnie leczył się w Bath. Świadczy to o tym, jak dawno już poznano się na leczniczych właściwościach tamtejszych wód — no i o tym, że prawdopodobnie urzędnicy, wojskowi i osadnicy rzymscy doznawali na sobie skutków wilgotnego klimatu Brytanii.

Tradycja przypisuje odkrycie źródeł w Bath księciu brytyjskiemu nazwiskiem Bladud, który cierpiał na trąd i zauważył dobroczynne skutki wody z tych źródeł u świń, dotkniętych tą samą chorobą. Jest to raczej legenda, natomiast źródła historyczne wskazują, że po r. 44 po Chr. Rzymianie zbudowali w tym miejscu zdrojowisko z obszernymi łaźniami i świątyniami, którego nazwa brzmiała Aquae Solis lub Sulis. Nazwa ta pochodziła prawdopodobnie od miejscowego bóstwa, zwanego Sol albo Sul, które Rzymianie utożsamiali z Minerwą. Z czasów rzymskich pozostały w Bath liczne zabytki, przede wszystkim ruiny wspaniałych łaźni (Roman Baths).

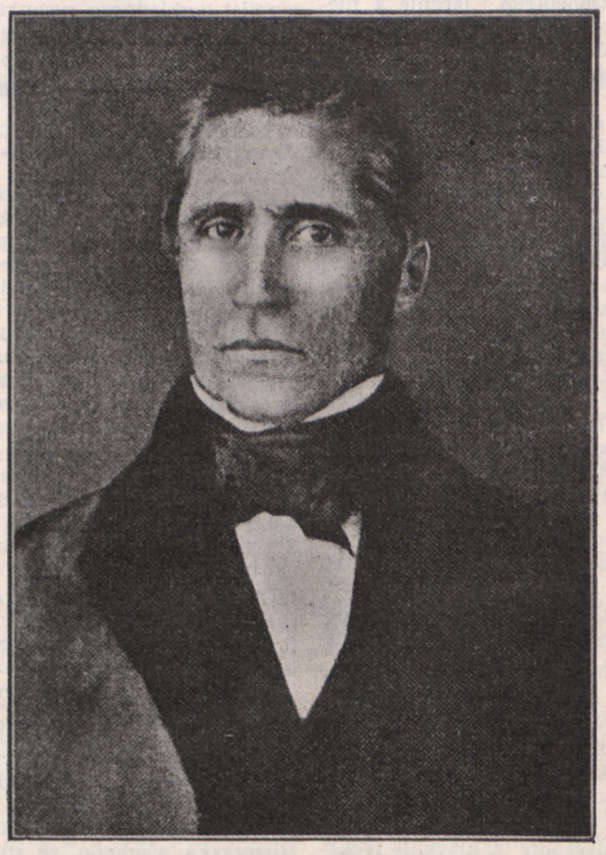
Wieko kamiennej trumny reumatycznego Rzymianina uległo rozbiciu od pługu p. Hunta. Po jego naprawieniu będzie można odczytać napis na nim.

BOGUSŁAW PRZERADZKI

EPOPEJA STRZELECKIEGO

W roku 1839, w swym diariuszu, będącym kopalnią interesujących uwag i spostrzeżeń, 42-letni wówczas Paweł Edmund Strzelecki, który właśnie przybył do Sydney, tak charakteryzuje Anglosasów:

„Inne rasy, prawdziwe dzieci swej ziemi, utożsamiają się z nią, czerpią z z niej swe utrzymanie, siłę i narodowość; nazywają ją ojczyzną, kochają ją, uwielbiają i trzymają się jej łona chociby za cenę wolności, wygód, a nawet życia. Wypędzone z niej stają się zabłąkanymi wędrowcami i wkrótce wyrodnieją jak róża alpejska, która przeniesiona do regionów cieplejszych traci kwiecie i wypuszcza tylko kolce."



„Tak mówi Polak" — podkreśla p. Geoffrey Rawson, autor świeżo wydanej pt. „The Count", a pierwszej w ogole w swiecie biografii Strzeleckiego, — i cytuje dalej:

„Natomiast twarda natura rasy anglosaskiej stanowi argument przeciw tym skutkom przesiedlenia, gdyż nie jest ona zależna od ziemi ani co do charakteru, ani narodowości; Anglosas reprodukuje swą ojczyznę wszędzie tam, gdzie wywiesza jej flagę. Zjednoczone Królestwo dalekie jest od dania nam trafnego wyobrażenia o tej rasie. Podróżnik jest tam jakby schowany we wnętrznościach kolosa. Gdzie indziej zupełnie: w Stanach Zjednoczonych, w Indiach Zachodnich i w tym właśnie mieście Sydney można dopiero w pełni zrozumieć i ocenić zdumiewającą ekspansję życia anglosaskiego, gigantyczne rozmiary jego postawy i energię jego funkcyj*)."

Gdy się weźmie pod uwagę, że sformułowania te pisane były sto piętnaście lat temu, uderzać musi ich trafność. Natomiast to, co Strzelecki mówi o nieuchronnej jakoby degeneracji ludzi innych narodów (tak bowiem trzeba rozumieć użyte przez niego słowo „rasa") w obcych środowiskach, nie znajduje potwierdzenia w kolejach jego własnego bujnego, buchającego energią i twórczego życia. Józef Conrad-Korzeniowski jest drugim przykładem, że nawet „zabłąkany wędrowiec" z innego narodu niekoniecznie musi uschnąć duchowo w otoczeniu anglosaskim, — co więcej, że środowisko to może w stosunku do pewnych natur mieć wpływ pobudzający.

Analogie między Strzeleckim a Conradem są w ogóle zastanawiające. Obaj pod wpływem bolesnych doświadczeń czy zawodów wczesnej młodości wyrwali się ze swego kraju, obaj weszli w świat angielski, w którym ich talenty miały się tak niezwykle objawić i rozkwitnąć, — i obaj do końca nie tylko nie ulegli całkowitemu zanglizowaniu, ale, jak wskazuje wiele danych (zwłaszcza jeśli chodzi o Conrada), do końca życia przeżywali głęboko dramat swej polskości.

Korzeniowski, jako młody, pełen temperamentu chłopak, spragniony przygód i oddechu szerokiego świata, nie mógł znieść dławiącej atmosfery popowstaniowej, która zamykała wszelkie w tym kierunku możliwości. Jako dziecko przeżywał śmierć matki, wywiezionej w głąb Rosji i chorej na gruźlicę, potem przyszła w Krakowie powolna agonia jego ojca, pisarza, poety i jednego z organizatorów powstania 1863 roku. Bodaj że nie trzeba psychoanalizy, by zdawać sobie sprawę, że przeżycia i urazy czasów dzieciństwa i wczesnej młodości mają często ogromny wpływ na kształtowanie się procesów psychicznych i cały późniejszy bieg życia. Syn Apolla Korzeniowskiego przestał wierzyć w możność odrodzenia się Polski i świadomie wybrał Anglię na swą nową ojczyznę. Ale zepchnięta w ten sposób w głąb duszy polskość nie zamarła; stała się źródłem dramatu, który trawił go nieprzerwanie, i silnie wpłynęła na nurt wewnętrzny, a nawet tematykę jego dzieł. W ostatnim okresie swego życia Conrad — nie zatracając swych uczuć dla Anglii — stał się znów świadomym w pełni Polakiem i gdyby go śmierć nie ubiegła, powróciłby do Polski, jak stwierdzają ponad wszelką wątpliwość świadectwa jego żony, Angielki.

Przyczyny, które wypchnęły Strzeleckiego na zawsze poza granice kraju ojczystego, są być może trudniejsze do określenia. Wiemy w każdym razie, że posiadał on podobną jak Conrad żądzę przygód i podróży i że w młodości doznał kilku dotkliwych zawodów i upokorzeń. O pierwszym z nich, który zaszedł, gdy Strzelecki miał lat 16 i uczęszczał do szkoły w Warszawie, wiemy bardzo niewiele. Dużo lepiej znane są nieszczęśliwe dzieje jego miłości do Adyny Turno, córki właściciela majątku ziemskiego pod Poznaniem, sąsiadującego z posiadłością jego rodziców. Strzelecki zakochał się w 14-letniej Adynie, gdy miał lat 22, ale natrafił na zdecydowany opór jej bogatego ojca, który nie uważał go za odpowiedniego kandydata na swego zięcia. Młodzi postanowili wówczas wspólnie uciec, ojciec jednak czuwał i zamierzenie to w ostatniej chwili udaremnił.

Rozgoryczony do głębi Strzelecki opuścił wówczas rodzinną Głuszynę i został administratorem dóbr Franciszka Sapiehy, znajdujących się w stanie wielkiego zaniedbania i zadłużenia. Sądząc z danych, jakie posiadamy, zabrał się z wrodzoną mu energią do pracy i zrobił dużo dla uporządkowania tej stajni Augiasza. Naraził się jednak synowi właściciela majątku i w rezultacie wytoczonego mu procesu nie tylko musiał opuścić swe stanowisko, ale stracił też obiecaną mu za doprowadzenie majątku do ładu gratyfikację.

Bodaj że właśnie pod wpływem tych zawodów i rozczarowań — o nieszczęsnej dlań sprawie Sapiehy znajdujemy pełną goryczy wzmiankę w liście do Adyny Turno, pisanym w blisko dwadzieścia lat później — zarazem zaś ulegając impulsom swej natury Strzelecki w r. 1825 Polskę opuścił; miał wówczas lat 28. Nastąpił dwudziestoletni okres jego wędrówek po Europie. Udał się najpierw do Anglii i Szkocji, ponoć przebywał także dłuższy czas w Niemczech, poszerzając swą wiedzę w zakresie nauk przyrodniczych, w szczególności geologii. Czy w ciągu tego dziewięciolecia odwiedził kiedy Polskę — nie wiadomo. Są wersje, że brał udział w powstaniu 1831 r., jak dotąd jednak nikt nie potrafił na ich potwierdzenie przedstawić żadnych dowodów.

BIOGRAFIA RAWSONA

W każdym razie jest to chyba najmniej znany okres życia Strzeleckiego; wynika to także ze wspomnianej już wyżej książki Geoffreya Rawsona. Rawson jako Australijczyk miał za to szczególne dane do dokładnego zbadania i spenetrowania „australijskiego" okresu życia i działalności Strzeleckiego. Przy pisaniu swej biografii wyzyskał sumiennie w granicach możliwości zarówno źródła polskie, jak australijskie i angielskie. Z Warszawy udało mu się dostać odpisy szeregu listów Strzeleckiego do Adyny Turno. Pełny zbiór tych listów przechowywany był przed wojną w Muzeum Etnograficznym w Warszawie, które okupanci niemieccy niemal całkowicie zniszczyli; część listów jednak jakimś szczęśliwym zrządzeniem losu ocalała. Przynoszą one wiele danych, dotyczących kolei życia Strzeleckiego, choć jak się zdaje nie dają pełnej jego sylwetki psychicznej, którą dziś odtworzyć jest niezmiernie trudno.

Drugim polskim źródłem informacyjnym był dla Rawsona p. L. Noskowski, były konsul generalny Rzeczypospolitej w Australii, który postacią Strzeleckiego od dawna szczególnie się interesował. Za jego to głównie staraniem w lutym 1940 r. odsłonięta została na szczycie Mount Kosciuszko tablica ku czci Strzeleckiego.

Rawson korzystał też w szerokiej mierze z materiałów, znajdujących się w bibliotekach australijskich, m. in. z listów Strzeleckiego, które przechowywane są w Mitchell Library w Sydney. Powstała w ten sposób książka niezbyt duża rozmiarami, ale ciekawa i wartościowa mimo nieuniknionych braków.

Sam Strzelecki niewątpliwie uważał te cztery lata (1839-1843), jakie spędził w Australii i na Tasmanii (zwanej wówczas Van Diemen's Land) za najważniejsze w swym życiu. Nic też dziwnego, że Rawson poświęcił im prawie dwie trzecie swego opracowania.

BRYG NIEWOLNIKÓW

Ale i z okresu wcześniejszego, kiedy Strzelecki podróżował wzdłuż i wszerz po całej Ameryce, zarówno północnej, jak południowej, autor wydobył rzeczy ciekawe, a nawet pasjonujące. W diariuszu swym pod datą 22 stycznia 1836 roku Strzelecki, przebywający wówczas w Rio de Janeiro, notuje, że wojenna szalupa brytyjska „Satellite" przyholowała do portu bryg, służący do przewozu niewolników.

„Poszedłem dzisiaj — pisze Strzelecki — obejrzeć ten statek niewolników. Choć przygotowany byłem na to widowisko, które teraz z dnia na dzień staje się coraz rzadsze, przyznaję, że rzeczywistość znacznie przekroczyła obraz nędzy ludzkiej, jaki malowałem sobie w wyobraźni. Gdy spojrzałem na pokład statku, poczułem, że łańcuch, jaki wiązał mnie z cywilizacją, pękł...

„Na 150-tonowym brygu, między pokładami, odległymi o nie więcej niż trzy stopy, stłoczonych było gęsto 300 niewolników obojga płci. Tak gęsto, że przestrzeń między nogami jednego zajęta była przez ciało drugiego. Byli unurzani w pocie, tarzali się w nieczystościach; ich jedyną atmosferą były ich własne oddechy, zmieszane z najbardziej smrodliwymi wyziewami. Straszliwe pragnienie, jakie ich paliło, drażnione było tylko jeszcze bardziej przez dziesięć uncji wody, jakie im dziennie wydzielano. Tropikalne słońce prażyło swymi promieniami górny pokład, uciskający ich głowy.

„Szaleństwo, wywoływane przez takie napięcie cierpienia, przyniosło zgon jednej piątej ogólnej ich liczby. A te nędzne stworzenia, które to przeżyły — mój Boże! Cóż za widok! Mężczyźni, kobiety i dzieci, zbici razem we wszelkich możliwych pozycjach i wyrażający swe mieszane uczucia radości, zdumienia, nadziei, strachu, respektu, ciekawości czy bojaźni przez osobliwe konwulsyjne poruszenia; ich nagie, wychudzone ciała pokryte były ranami, zdradzającymi historię ich krzywd i cierpień i pokazującymi bardziej wymownie, niż to mogły uczynić ich własne języki, okrucieństwo handlarza niewolników. Ślady c h i c o t e (rodzaj knuta) na plecach aż zbyt wyraźnie ujawniały narzędzie, jakiego ten chrześcijanin XIX wieku używał, gdy mu tak podyktował kaprys. Między tymi ofiarami chciwości i barbarzyństwa Europejczyków, ludożerców gorszych od tych, którzy noszą to miano, były kobiety ciężarne; niektóre w tym położeniu porodziły dzieci wśród mężczyzn i wśród wszystkich tych dolegliwości i tortur.

„Od chwili ujęcia brygu użyto wszelkich środków, by go oczyścić i doprowadzić do porządku. Atmosfera statku przy temperaturze 96° była jednak tego rodzaju, że było dla mnie rzeczą niemożliwą pozostać tam dłużej niż piętnaście minut... Pióro wypada mi z ręki i twarz mą skrywam we wstydzie i upokorzeniu na myśl o klęskach, jakie ściągnąć potrafią zbrodnie mych współbliźnich."

Jest niewątpliwie bliskie pokrewieństwo między patosem tego opisu, a pełną grozy atmosferą „Jądra ciemności" i „Placówki postępu" — dwóch opowiadań Conrada, które pisał pod impulsem wrażeń i spostrzeżeń, poczynionych w Kongo.

Wśród rozlicznych zainteresowań Strzeleckiego nie obce mu też były zagadnienia etnologiczne i językowe. Podczas swych wędrówek po wyspach Mórz Południowych doszedł on do wniosku, że panująca ówcześnie teza, jakoby mowa tubylców tych wysp była odgałęzieniem języka malajskiego, jest zupełnie mylna i że w rzeczywistości narzecza Polinezyjczyków bardzo niewiele mają wspólnego z językiem malajskim. Przez to stwierdzenie — zauważa Rawson — Strzelecki wyprzedził o stulecie z górą nowoczesną hipotezę, wysuniętą przez przywódcę ekspedycji Kon-Tiki, Thora Heyerdahla.

LATA AUSTRALIJSKIE

Kiedy w r. 1839 Strzelecki przybył na pokładzie statku „Justine" do Sydney, stolicy Nowej Południowej Walii, powziął plan niezwykle ambitny, zdawałoby się wkraczający w dziedzinę fantazji. Postanowił przemierzyć całą tę, bardzo rzadko wówczas zaludnioną i dziką jeszcze prowincję, łącznie z sąsiednią Wiktorią, i zbadać je pod względem geologicznym, przy tej zaś sposobności także pod innymi względami. Śmiałość tego planu uderza szczególnie, gdy się zważy, że nie ma żadnych dowodów na to, by Strzelecki — poza latami szkolnymi w Polsce — odbywał kiedykolwiek regularne studia na wyższej uczelni. Jego zdumiewająca wiedza zdobyta została drogą praktyki i lektury oraz niezwykle wyostrzonego zmysłu obserwacyjnego. Łączyła się z tym rzadka pracowitość i sumienność; wszędzie, gdzie był, poszerzał swe wiadomości i systematycznie je notował.

Niewątpliwą przeszkodę stanowił dlań fakt, że był świeżym przybyszem o „niemożliwym do wymówienia" — jak się wyraża Rawson — nazwisku, słabo jeszcze wówczas mówił po angielsku, miał bardzo niewiele znajomości i stosunków i bardzo skąpe środki materialne. A jednak po trzymiesięcznym pobycie w Sydney, w czasie którego czynił przygotowania i z powodzeniem pozyskiwał sobie przyjaciół, rozpoczął swą pierwszą wielką ekspedycję i plan swój cały zwycięsko przeprowadził, przemierzając Nową Południową Walię i Wiktorię od Sydney poprzez równinę Yass i Alpy Australijskie do Port Philip nad cieśniną Bassa, oddzielającą Australię od Tasmanii. Żyzną krainę, położoną między południową częścią Alp Australijskich a Oceanem Strzelecki ochrzcił mianem Gippsland ku czci ówczesnego gubernatora Nowej Południowej Walii Sir George Gippsa.

Choć Strzeleckiemu nie brakło i wrogów (jak Szkot Angus McMillan, inny badacz Australii), jego dzielność, wiedza i urok osobisty wywołały entuzjazm wśród osadników australijskich i ich przywódców. Toteż zorganizowanie drugiej wielkiej ekspedycji badawczej — tym razem po Tasmanii — było już dlań na pewno łatwiejsze. W Tasmanii spędził z przerwami dwa lata i zaprzyjaźnił się tam bardzo z ówczesnym rządcą tej wyspy, Sir Johnem Franklinem, wybitnym badaczem obszarów arktycznych, który w parę lat później miał zginąć tragicznie przy poszukiwaniu tzw. przejścia północno-zachodniego.

GÓRA KOŚCIUSZKI

Powrócić nam jednak trzeba do Nowej Południowej Walii. Dnia 15 lutego 1840 r. Strzelecki wraz z towarzyszem swym Macarthurem wspina się na najwyższy szczyt Australii (7305 stóp) i szczyt ten chrzci imieniem Kościuszki. Wraz z listem, w którym donosi o tym Adynie, posyła jej kwiat tam zerwany.

„Zachowałem i poświęciłem najwyższy szczyt Alp Australijskich — pisze jej — szczyt, który góruje nad całym kontynentem i na który nikt się przed moim przybyciem nie wspiął, z jego wiecznymi śniegami, milczeniem i godnością, jaka go otacza — na przypomnienie dla przyszłych pokoleń tego kontynentu nazwiska drogiego i świętego każdemu Polakowi, każdej istocie ludzkiej, każdemu przyjacielowi wolności i honoru — Kościuszki."

I potem nieco dalej:

„Oto jest kwiat z Góry Kościuszki — najwyższego szczytu kontynentu, pierwszego w Nowym Świecie, który nosi imię polskie. Jestem przekonany, że będziesz pierwszą kobietą polską, która ma kwiat z tej góry. Niech Ci on zawsze przypomina wolność, patriotyzm i miłość."

A oto ustępy tego samego listu, rzucające światło na stosunek Strzeleckiego do Polski:

„Jesteś Polką, sercem i duszą, i przez to właśnie tym droższą dla mnie. Kocham mą nieszczęśliwą ojczyznę i gotów jestem wiele dla niej poświęcić z wyjątkiem Ciebie i Twojej miłości. Wszystko, co pamiętam, to gorycz, ból i smutek. Ileż ja wycierpiałem od mej rodziny i współrodaków... Podczas gdy jednak oni nigdy nie ustają w oczernianiu mego charakteru, ja pomagam wygnańcom gdziekolwiek to możliwe. W Stanach Zjednoczonych udało mi się zainteresować ich niedolą Prezydenta (Jacksona — przyp. aut. art.) i nawet wpłynąć na Kongres.

„W Nowej Południowej Walii znajduje się wielu byłych żołnierzy z Litwy, deportowanych na statku pruskim w r. 1832, którzy skazani zostali w Anglii na kary za kradzież i inne przestępstwa i przywiezieni tutaj. Dzięki mej interwencji u gubernatora generalnego zostali zwolnieni i zażywają obecnie wielu drobnych przywilejów."

Innemu szczytowi australijskiemu Strzelecki daje imię swej ukochanej. Jest więc Mount Kościuszko i jest także Mount Adyna.

Istnieje również parę nazw geograficznych, zawierających nazwisko samego Strzeleckiego. W stanie Wiktoria znajduje się pasmo górskie Strzelecki Ranges i miejscowość: Strzelecki, w Południowej Australii odnoga jednej z rzek nosi nazwę Strzelecki Creek, nadaną jej przez wybitnego podróżnika i uczonego Charlesa Sturta; w obrębie Terytorium Północnego znajdujemy Mount Strzelecki, a na jednej z wysp w pobliżu Tasmanii Strzelecki Peaks.

ODKRYCIE ZŁOTA

Że Strzelecki był pierwszym odkrywcą złota w Australii, to dla Rawsona i większości znawców tego przedmiotu nie ulega wątpliwości.

Strzelecki znalazł żyły złota i srebra w skałach koło Wellington już w pół roku po swym wylądowaniu w Australii. Wróciwszy do Sydney przedstawił próbki złota gubernatorowi Gippsowi. Reakcja Gippsa była natychmiastowa i stanowcza: prosił usilnie Strzeleckiego o zachowanie tego odkrycia w tajemnicy. Gubernator nie na żarty przestraszył się, że wiadomość o tym wywołałaby „gorączkę złota", która zaburzyłaby całkowicie spokój w kolonii i odciągnęła osadników od ich zajęć.

Strzelecki zgodził się na prośbę Gippsa i meldunek jego pozostał własnością małego grona osób. W dwa lata później, w roku 1841 znalazł złoto w skałach koło Hartley pastor W. B. Clarke, i on jednak na prośbę gubernatora o odkryciu swym zamilczał.

Chowanie w ten sposób sprawy pod koniec miało ten skutek, że w końcu z pretensją do tytułu pierwszego odkrywcy złota wystąpił kto inny. Stało się to w r. 1851, po znalezieniu złota w Kalifornii, kiedy ściągać tam zaczęli poszukiwacze ze wszystkich stron świata, m. in. z Australii. Władze australijskie uznały wówczas, że jedynie skutecznym środkiem zatamowania tego odpływu będzie ujawnienie faktu istnienia złota w samej Australii. Do eksploatacji złota przystąpił pierwszy E. H. Hargraves, przybyły właśnie z Kalifornii.

Już w r. 1853 w Radzie Ustawodawczej Nowej Południowej Walii wybuchła ostra dyskusja nad wnioskiem o przyznanie Hargravesowi wysokiego wynagrodzenia za odkrycie złota (w sumie otrzymał on 10.000 funtów). Kilku członków Rady z Jamesem Macarthurem na czele wystąpiło przeciw wnioskowi, wskazując na to, że rzeczywistym odkrywcą złota jest Strzelecki.

Wniosek mimo to przeszedł. Strzelecki, rozgoryczony wiadomościami o tym wszystkim, ogłosił w r. 1856 rozprawę pt. „Gold and Silver", w której dokładnie sprawę swego odkrycia opisał i oświetlił. Na ogół jego pierwszeństwo w tym zakresie uznawane było i jest dotąd zarówno przez historyków, jak geografów i geologów. Pierwszym odkrywcą złota w Australii nazywa Strzeleckiego między innymi autor jego życiorysu w „Dictionary of National Biography" Thomas Seccombe.



Góra Kościuszki

Ale i Hargraves miał zwolenników, którzy ostatecznie w samej Australii swój punkt widzenia przeprowadzili, przynajmniej w pewnym zakresie. W r. 1951, w stulecie „odkrycia" (Rawson pisze tu „find" w cudzysłowie) Hargravesa rząd australijski wydał specjalny pamiątkowy znaczek pocztowy z jego podobizną.

LATA LONDYŃSKIE

Ostatnich trzydzieści lat swego życia Strzelecki spędza z niedużymi stosunkowo przerwami w Londynie. W r. 1845 pojawia się, wydane przez istniejącą po dziś dzień firmę Longmans, jego pomnikowe dzieło „Physical Description of New South Wales and Van Diemen's Land". Badania prowadzone w ciągu ostatnich stu z górą lat, oczywiście uzupełniły, skorygowały i znacznie rozszerzyły wyniki pracy Strzeleckiego. Ale wartość jego książki — jak podkreśla Rawson — polega na tym, że był to „pierwszy naukowy opis tych kolonii, przeprowadzony w skali tak szczegółowej".

Wkrótce po wydaniu książki Królewskie Towarzystwo Geograficzne, którego prezesem był wówczas znakomity geolog Sir Roderick Murchison, odznaczyło Strzeleckiego w uznaniu jego zasług naukowych złotym medalem.

Odznaczenie to i poparcie, jakiego udzielili mu jego liczni wówczas już brytyjscy przyjaciele, pozwoliło mu na osiągnięcie wybitnej pozycji w życiu kulturalnym i towarzyskim ówczesnego Londynu. Równocześnie jednak jego niezmordowana ruchliwość nie pozwalała mu spocząć na laurach. W r. 1847 zachodnią Irlandię nawiedza głód, który czyni prawdziwe spustoszenia wśród ludności. W Londynie powstaje komitet pomocy głodującym, który w wyniku przeprowadzonej zbiórki dysponuje dużymi funduszami. Strzelecki na własną prośbę zostaje przedstawicielem tego komitetu na hrabstwa Sligo i Mayo i wszystkie swe wysiłki poświęca ulżeniu szerzącej się klęski, łożąc na to nawet swe własne fundusze. Jego energia i poświęcenie budzą podziw; pod koniec kieruje już z Dublina akcją pomocy w całym kraju.

W uznaniu tych zasług odznaczony zostaje przez królową Wiktorię orderem Łaźni. Od tego czasu mnożą się udzielane mu zaszczyty i odznaczenia. Zostaje więc najpierw „Fellow of the Royal Society", w pewien zaś czas potem uniwersytet oksfordzki daje mu doktorat honorowy (D. C. L.). Wreszcie otrzymuje order św. Michała i św. Jerzego, udzielany za zasługi w koloniach, order, z którym związany jest tytuł Sira. O ile do tej pory stosunku do niego używane było określenie „Count de Strzelecki" (zwano go często potocznie „The Count" — i stąd tytuł książki Rawsona), to odtąd oficjalne jego imię i nazwisko brzmi: Sir Paul Edmunt Strzelecki. Wśród jego bliskich przyjaciół znajduje się wpływowy redaktor naczelny „Timesa" Y. T. Delane oraz dwie wybitne kobiety owego czasu: Florence Nightingale i Jane Franklin, żona wspomnianego już wyżej badacza polarnego Sir Johna Franklina, a później wdowa po nim.

ADYNA

Ale miłość Strzeleckiego do Adyny nie gaśnie; Rawson poświęca jej jeden z ostatnich rozdziałów książki. Miłość ta przetrwała całe życie obojga w okolicznościach naprawdę niezwykłych, nawet jak na ówczesną epokę. Od chwili swego przymusowego rozstania się we wczesnej młodości zakochani — o ile wiadomo — nie widzieli się w ciągu następnych lat z górą czterdziestu ani razu, ale korespondencja między nimi, prowadzona w języku francuskim, nie ustawała przez cały ten czas. Na podstawie ogłoszonych fragmentów listów Strzeleckiego do Adyny nie łatwo dziś odtworzyć tło psychologiczne tego uporczywego trzymania się obojga w oddaleniu. W każdym razie Strzelecki pozostał do śmierci bezżenny, a Adyna za mąż nie wyszła.

Dopiero u schyłku życia obojga, kiedy Strzelecki miał już lat prawie siedemdziesiąt, spotkali się oboje w Genewie, gdzie spędzili razem kilka dni, po czym on wrócił do Londynu, a Adyna do Polski.

Strzelecki zmarł na zapalenie płuc w dniu 6 października 1873 r. w swym londyńskim mieszkaniu przy Savile Row, mając lat 77. W osiem lat później umarła w Poznaniu w dokładnie tym samym wieku Adyna Turno.

Pochowany został Strzelecki w skromnym grobie na cmentarzu Kensal Green. W czasie drugiej wojny światowej bomba niemiecka strzaskała płytę grobową. Na jesieni 1942 r. zawiązał się pod przewodnictwem znanego pisarza i poety Shane Leslie komitet uczczenia pamięci Strzeleckiego pod patronatem premiera Rządu Polskiego, Wysokiego Komisarza Australii i prezesa Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Staraniem tego komitetu zniszczona płyta grobowa zastąpiona została w październiku 1943 r. przez nową, na której Strzelecki określony jest jako „badacz, uczony i filantrop". Na płycie znalazł się orzeł polski i kangur australijski, niewątpliwie nie tylko dla złożenia hołdu pamięci polskiego podróżnika, ale i dla upamiętnienia polsko-australijskiego braterstwa broni, zadzierzgniętego tak silnie dwa lata przed tym w obronie Tobruku, w bardzo krytycznym okresie wojny.

Bogusław Przeradzki

*) Wobec braku dostępu do oryginalnych źródeł wszystkie cytaty w tym artykule są tłumaczeniami z angielskich tekstów książki Rawsona.

„MONSIEUR HANSKA"

Zdarza się czasem na Zachodzie, choć coraz rzadziej, że Polki określane są nazwiskiem ich mężów, bez zamiany końcówki „ski" na „ska". Natomiast nieznane są chyba wypadki, by nazwiskom mężczyzn dawano końcówkę kobiecą. Błąd ten znajdujemy jednak w rozdziale nowej książki Somerseta Maughama, drukowanej obecnie częściami przez „Sunday Times", mianowicie w rozdziale poświęconym Balzacowi. Opisując, jak to p. Hański znalazł dwa listy miłosne Balzaca do Eweliny Hańskiej, pozostawione przez nią nieopatrznie wewnątrz jakiejś książki, Somerset Maugham pisze o „M. Hanska" (tj. Monsieur Hanska) i formę tę parokrotnie powtarza.

Nie zmienia to faktu, że to, co Maugham pisze o Balzacu i jego życiu, jest bardzo interesujące i przeważnie trafne.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 1 sierpnia 1954.

NASZE SPRAWY

MATURA, MATURA!

Niezliczone rodziny polskie żyją dziś pod znakiem egzaminów swoich dzieci, bo czerwiec i lipiec to jest pora matury i innych egzaminów. Szkoły średnie angielskie roją się dziś od polskiej dorastającej młodzieży. A wszak mamy jeszcze i parę szkół polskich, co prawda z przewagą angielskiego języka wykładowego i przewagą angielskich programów.

Mała matura, duża matura, przechodzenie z klasy do klasy... Niech się mamusia pomodli, bo mój egzamin jest jutro! Niech tatuś zobaczy mój wczorajszy papier egzaminacyjny: tak odpowiedziałam, ale nie wiem, czy tak będzie dobrze! Przyjmą mnie na uniwersytet w Bristolu, jeśli zdam maturę, ale czy aby dostanę stypendium?

Dzieci nasze kształcą się na modłę angielską. Trzeba przyznać, że uczą się na ogół dobrze. Nie mamy się co polskich dzieci wstydzić. Może to jeszcze wpływ polskich szkół, w których brały one nauki początkowe? A może po prostu pobyt w obcym środowisku pobudza ambicję; wszak dzieci żydowskie w Polsce także się świetnie uczyły...

Wykształcenie na modłę angielską będą mieć na ogół solidne. Czy będzie ono tak samo solidne także i na modłę polską?

Trochę o tym pomówmy.

Pomijam tu sprawę polskich przedmiotów. Tych się, rzecz prosta, nie nauczą w szkole angielskiej. Polska literatura, polska historia, geografia Polski i wiedza ogólna o Polsce, a wreszcie poprawne wysławianie się po polsku, gramatyka, składnia, stylistyka i najzwyczajniejsza ortografia — to są rzeczy, których nasza młodzież, nie uczęszczająca do szkół polskich, musi się nauczyć poza szkołą: na lekcjach prywatnych, przy pomocy rodziców, lub drogą samokształcenia. To jest tak oczywiste, to jest obowiązek tak elementarny, że w ogóle nie ma co o tym mówić.

Pomijam także sprawę wiedzy religijnej. Ci, co uczęszczają do szkół katolickich angielskich, otrzymują tę wiedzę w zakresie całkiem sporym. Religii tu uczą inaczej niż uczono w Polsce, ale poziom jest wysoki, a zetknięcie z protestanckim albo z agnostycznym otoczeniem pobudza chęć zgłębienia wszystkich zagadnień, mogących być przedmiotem sporu. Jeśli nasza młodzież będzie wiedzieć o religii katolickiej tak i tyle, jak młodzież katolicka angielska — to możemy być o nią spokojni. Jeśli czego nie wie, to będzie się potem umiała douczyć. A jeśli idzie o tych, co uczęszczają do szkół niekatolickich, stoi przed nimi ten sam problemat, co przed ich kolegami, katolikami angielskimi w podobnym położeniu.

Ale istnieje jeszcze zagadnienie ogólnego stylu i ducha w wychowaniu szkolnym.

Ogólne założenia nauki gimnazjalnej w Anglii, a w Polsce i w ogóle na kontynencie są inne.

Po pierwsze, zasadą programów angielskich jest: uczyć niedużo, ale dobrze, a zasadą kontynentalną jest dać zasób umiejętności choćby powierzchownych, ale szerokich i dających zaokrąglone pojęcie o wszystkim, co ogólnie wykształconego człowieka winno interesować. Wedle pojęć kontynentalnych, uczeń szkoły średniej nie przygotowuje się jeszcze do swojego zawodu, ale zdobywa wykształcenie ogólne, które stanowi dopiero podstawę dla dalszych studiów specjalnych.

Drugą różnicą jest, że wykształcenie angielskie ma cele praktyczne, jego zadaniem jest przygotować ucznia do przyszłego zarobkowania w określonym zawodzie i do wykonywania w społeczeństwie określonej funkcji, a szkoły kontynentalne wciąż jeszcze — choć może w osłabionym stopniu — są wierne starej chrześcijańskiej (czy może średniowiecznej) zasadzie, iż głównym celem szkoły nie jest uczenie rzemiosła i zarobkowania (do tego są szkoły specjalne), lecz kształcenie, formowanie człowieka, rozwijanie jego umysłu i serca.

Nie ulega kwestii, że na rzecz systemu angielskiego da się niejedno powiedzieć. To dobra szkoła gruntowności umieć mało, ale za to umieć dobrze. Nasze szkoły grzeszyły nadmiarem ślizgania się po łepkach, wyrabiały zbyt wielu płytkich dyletantów, nie wiedzących nic porządnie. Poszły one w kierunku wiedzy ogólnej zbyt daleko i pewne przybliżenie się do gruntowności angielskiej byłoby im dobrze zrobiło.

Ale zasadnicze założenie ich programu było bez wszelkiej wątpliwości słuszne. Szkoła średnia ma kształcić ludzi wykształconych, a człowiek wykształcony to jest ktoś, kto umie coś więcej niż tylko swoje rzemiosło.

W szkole angielskiej, jak ci dobrze idzie botanika, to każą ci się uczyć w dalszym ciągu botaniki, niczego, tylko botaniki. To prawda, że szybko staniesz się w tej botanice specjalistą. Ale specjalistą jakże wąskim! Nie rozumiejącym życia, nie rozumiejącym świata, myślącym jak dziecko o wszystkim, co leży dalej, niż czubek własnego twego nosa. Warstwa inteligencji tak wychowana może mieć poziom intelektualny nadzwyczaj wysoki w wąskich ramach swego życia. Ale będzie ślepa, krótkowzroczna, naiwna w ocenie wszystkiego, co poza te ramy wykracza. Opinia angielska — poza bardzo nieliczną elitą — nie rozumie świata, nie rozumie Europy, nie rozumie Azji, nie rozumie Rosji, nie rozumie tubylców afrykańskich — bo nie ma na to dość szerokich widnokręgów, by pojąć i ocenić sprawy obce. Rozumie świetnie daną obcą sprawę jakiś specjalista — ale on jest także wąski, bo nie rozumie nic więcej. To się może zemścić! Doświadczenie, nabyte w wąskich ramach krótkiego okresu czasu i ściśle określonych warunków może być bez wartości, gdy czasy takie nadchodzą, że trzeba myśleć o sprawach, które się w tych ramach nie mieszczą.

Znam dziewczynkę, która uczyła się historii XIX stulecia w Anglii i zna tę historię na wylot, aż do szczgółów takich, jak zmiany gabinetów i kolejne ustawy w parlamencie. Ale równocześnie nie słyszała ona ani słowa o Peryklesie, o Hannibalu, o Ostrogotach, o Karolu Wielkim, o Canossie, o Dżyngischanie, o Lepanto, o wojnie trzydziestoletniej! Cóż jest warte doświadczenie historyczne, ograniczone do jednego stulecia i do jednej wyspy czy imperium? Gdzież może mieć jakiś historyczny widnokrąg, jakiś zmysł oceny wydarzeń dziejowych w świecie ktoś, kto poza parlament brytyjski i politykę kolonialną w Indiach nosa nie wytknął? Szeregu zjawisk wielkiej wagi jego myśl i wyobraźnia po prostu nie są w stanie objąć.

W Polsce, gdyśmy zdawali maturę, nie zdawaliśmy jej z przedmiotów, któreśmy umieli najlepiej: byliśmy z egzaminów w tych przedmiotach zwolnieni. Za to kazano nam zdawać z tego, co umieliśmy gorzej. Zmuszano nas to do przysiedzenia fałdów właśnie nad tym, co nas interesuje mniej i co się w praktycznym życiu nie przyda. A więc do pewnego rozszerzenia widnokręgów. Nasza młodzież w Anglii już od młodych lat zmuszana jest do specjalizacji: jeśli się uczy matematyki, to się nie uczy łaciny; jeśli się uczy historii, to musi się obejść bez fizyki i chemii.

Niech się tego, czego jej uczą, nauczy jak najlepiej. Ale dopomóżmy jej do tego, by nie miała wąskich widnokręgów! Wpływem naszym, podsunięciem lektury, zachęceniem do słuchania odczytów, wreszcie rozmowami, starajmy się jej widnokręgi rozszerzyć.

Nie pozwólmy na to, by polski inżynier lub lekarz mógł nie wiedzieć zarówno gdzie leży Sandomierz, jak kto to był Hannibal czy Iwan Groźny i co to jest herezja Lutra. Dobrym rzemieślnikiem można być i bez tego. Ale człowiekiem rozumnym — nie można.

POLONUS

NASTĘPNY NUMER „ŻYCIA"

nie będzie zawierał miesięcznego dodatku „ŻYCIE KRAJU" z powodu letnich urlopów w redakcji.

Listy

DRAMAT I TEATR

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytawszy z zaciekawieniem niezwykle interesujące sprawozdanie p. Aleksandra Janty z inscenizacji „Dziadów" po angielsku w Buffalo (ŻYCIE nr 27/367 z dn. 4.7.54), nie mogę jednakże się zgodzić z niektórymi wnioskami autora, zwłaszcza z tymi, które wyciągnął ze zbyt dowolnych, jak mi się wydaje, analogii z Szekspirem.

Szekspir w pojęciu p. Janty, to stary nudziarz, którego toleruje się ze snobizmu (bo w szkole uczą, że wielki) i z przyzwyczajenia do „barwnych i długich" widowisk, wykluczając możliwość rozrywki. Tematyka jego dramatów jest obojętna dla widza, mówi p. Janta i przeprowadza też porównanie z librettem operowym i koronacją. W twierdzeniach tych mieści się, moim zdaniem, szereg nieścisłości. (Z góry chcę stwierdzić, że moje zarzuty dotyczą punktów marginesowych jego artykułu i w niczym nie naruszają jego zasadniczej treści.)

Przede wszystkim p. Janta nie rozróżnia należycie pojęć „dramat" i „teatr". Widowisko koronacyjne i królewskie pochody są formą teatru (do którego rozwoju zresztą przyczyniły się w średniowiecznej Anglii). Nie można natomiast utożsamiać z góry ustalonego formalnego ceremoniału, wypływającego z konwencji socjalnych danej epoki, a później utrzymywanego tradycyjnie w swej literze, choćby i duch uleciał, z dramatem jako dziełem sztuki, które może być powierzchownie związane z okresem, w którym powstało, ale żyje własnym życiem, posiadając znaczenie uniwersalne, aktualne dla każdej epoki. Dla widza oglądającego sztukę Szekspira po raz pierwszy sam wątek nawet jest interesujący. Ale nawet założywszy, że **tematyka** jest znana czy obojętna dla nas dzisiaj, **problematyka** jest ogólnoludzka, zawsze przejmująca. Tak jest z Sofoklesem, Eurypidesem, Ibsenem czy Szekspirem. Każdy wielki dramaturg tkwiący w swoich czasach, jeśli chodzi o rzeczy przypadkowe, jest ponadczasowy, jeśli chodzi o istotę jego dramatu. Libretto operowe jest obojętne dla amatorów opery, bo jest ono czynnikiem podrzędnym w stosunku do muzyki, która głównie się liczy. Ale w dramacie Szekspira właśnie słowo, tekst gra tę rolę co muzyka w operze. Inne czynniki, jak dekoracje i kostiumy są nieistotnym dodatkiem, choć jeśli są dobre i nie narzucające się, przyczyniają się do pogłębienia ogólnego efektu. W widowisku koronacyjnym z kolei właśnie element kostiumowo-dekoracyjny jest głównym czynnikiem (szczególnie dziś kiedy doktryna o Boskim pochodzeniu władzy królewskiej nie jest na ogół przyjęta). Nie ma opery bez muzyki, nie ma koronacji bez kostiumów i formalnego ceremoniału, nie ma Szekspira bez tekstu.

Tragedie i komedie Szekspira odznaczają się tym, że są konstrukcyjnie dobrze zbudowane, mają świetnie rozpracowane pod względem psychologicznym charaktery, ciekawe sytuacje, napięcie dramatyczne i często wznoszą się na wyżyny poezji pierwszego rzędu. Są wspaniałymi dziełami sztuki. Dlatego też stanowią dla swych czytelników, widzów i słuchaczy prawdziwą przyjemność i **rozrywkę kulturalną**. Szekspir nie jest jednak tak popularny, jakby się p. Jancie zdawało. W Anglii w każdym razie na sztuki jego uczęszcza i czyta je z dobrej woli (bo wałkowanie w szkole się nie liczy) tylko niewielki procent ludności. Większość woli zamiast rozrywek kulturalnych rozrywki innego rodzaju: pieski, piłkę nożną, kino — nie potrzebuję chyba wymieniać wszystkich „arcydzieł", które biją Szekspira na głowę.

Jaka więc jest nadzieja dla Mickiewicza i polskiego dramatu? Trudno jest marzyć o zadomowieniu się naszego monumentalnego repertuaru w zawodowym, komercjalnym teatrze. To byłaby utopia, skoro nawet wielki dramat angielski może istnieć tylko w teatrach subwencjonowanych. Tak więc nadzieje nasze ograniczają się do teatrów amatorskich i eksperymentalnych (n.p. uniwersyteckich). Tutaj liczyć możemy no popyt wśród koneserów. A więc wystawiane dzieła muszą przede wszystkim być dobrymi dziełami sztuki: muszą być konstrukcyjnie mocne, powinny mieć dobrą charakteryzację i traktowanie o uniwersalnych problemach (a więc nie tyle o naszych narodowych zmartwieniach i krzywdach, lecz o sprawach ogólnoludzkich). Mickiewicz nie jest w tym sensie dobrym dramaturgiem: jego postacie są mgławicowe, o zmyśle konstrukcyjnym lepiej nie mówić; traktuje o sprawach polskich. Sukces eksperymentu p. Janty zawdzięczać należy w sporym stopniu temu, że — jak się wydaje — uaktualnił „Dziady" dla publiczności amerykańskiej przez uwypuklenie akcentów niechęci do Rosji. Trzeba byłoby się jednak zastanowić, czy należy zawsze postępowac podobnie. Osobiście sądzę, że na dłuższą metę nie zajedziemy daleko przedstawiając nasze wielkie dramaty jako anty-rosyjskie agitki. Nie twierdzę, że p. Janta tak zrobił, ale w metodzie tej kryją się spore niebezpieczeństwa dla mniej udolnych jego naśladowców.

Jest jeszcze inny powód, dla którego „Dziady" przyjęte zostały w Buffalo przychylnie. Wspomina o nim p. Janta. Mianowicie dobry przekład, oddający dobrze poezję Mickiewicza. Wydaje mi się, że to jest czynnik najważniejszy bodaj. Jeśli nasi poeci dramatyczni szwankują w rzemiośle dramaturgicznym, nadrabiają to poezją. Wielka Improwizacja jest dramatyczna, mimo swej długości. (Adaptacje sceniczne polegające na odpowiednich skrótach, wycięciach dłużyzn itd. są oczywiście konieczne). Przekłady poezji polskiej, zrobione w Kalifornii pod egidą prof. G. R. Noyesa są przeważnie bardzo dobre. Po tych liniach winni iść dalsi tłumacze i eksperymentatorzy.

Należy się p. Jancie wdzięczność za jego artykuł, a zwłaszcza za samo przedsięwzięcie inscenizacji „Dziadów", które było niewątpliwie ruszeniem z martwego punktu sprawy popularyzacji naszej literatury wśród obcych. A to jest ważniejszym zadaniem dla emigracji niż wewnętrznoemigracyjne burze już nie w szklankach wody, ale w naparstkach.

Łączę wyrazy szacunku

Bolesław Taborski

P.S. Recenzja z „Dziennika dla Wszystkich" — cudna!

ZAPISKI LONDYŃSKIE

SPÓR O PAMIĘTNIKI RIBBENTROPA

Przed londyńskim sądem okręgu Chancery toczyła się rozprawa, spowodowana skargą wdowy po powieszonym Joachimie von Ribbentropie, b. hitlerowskim ministrze spraw zagranicznych, przeciw wydaniu angielskiej wersji jego pamiętników. Skarga wniesiona została przez panią Anneliese von Ribbentrop łącznie z niemiecką firmą wydawniczą „Druffel Verlag", która ogłosiła oryginalne niemieckie wydanie pamiętników Ribbentropa.

Przekład angielski wydać miała firma londyńska Weidenfeld and Nicolson i została już z nią zawarta w tej sprawie umowa. Strona skarżąca wysunęła zarzut, że z pamiętników Ribbentropa w wersji angielskiej usunięto szereg dokumentów i że wersję tę zaopatrzono w przedmowę dra Alana Bullocka, uwłaczającą jakoby pamięci Ribbentropa, z powoływaniem się na inne publikacje. W wyniku — twierdziła strona skarżąca — angielska edycja godziła w najwyższym stopniu w reputację Ribbentropa i jego żony, która po jego śmierci przygotowała do druku te pamiętniki i zaopatrzyła je w przypisy. Pani von Ribbentrop i „Druffel-Verlag", powołując się na te okoliczności, wnieśli do sądu o spowodowanie zakazu opublikowania wersji angielskiej.

Sędzia Vaisey skargę tę jednak odrzucił, oświadczając, że nakazu takiego wydać nie może.

KONGRES W SPRAWIE STAROŚCI

W tych dniach w Londynie obradował niezwykły kongres międzynarodowy poświęcony zagadnieniu starości i związanym z tym sprawom.

„Daily Telegraph" w artykule redakcyjnym podkreśla, że sprawy te stają się coraz aktualniejsze w Wielkiej Brytanii, która jest narodem starzejącym się. Sto lat temu proporcja ludzi starych i ludzi w wieku roboczym przedstawiała się jak jeden do dwunastu; obecnie wynosi ona jeden na sześć, a wkrótce wynosić będzie jeden na cztery. Mniej więcej około roku 1977 jedna trzecia całej ludności będzie w wieku ponad 65 lat.

„Jeśli — zaznacza „Daily Telegraph" — nie będzie stałego wzrostu naszej wytwórczości, połączonego ze skłonnością i zdolnością świata do płacenia za nasze produkty (a żadna z tych rzeczy nie może być uważana za pewną), rosnący odsetek pasażerów powodować będzie stały spadek stopy życiowej zarówno wśród pasażerów jak załogi."

Rzeczą konieczną jest przyczynienie się przez medycynę do takiego stanu rzeczy, by ludzie starzy nie byli całkiem bezradni i przykuci do łóżka. Póki to nie nastąpi, szpitale w W. Brytanii będą ciągle przeładowane, co obciążać będzie gospodarkę kraju, podobnie jak pensje dla starych ludzi.

„Daily Telegraph" występuje zdecydowanie przeciw polityce dzielenia społeczeństwa wedle pokoleń. „Jest rzeczą niemożliwą wierzyć, że zdrowe społeczeństwo może być podzielone w sposób, że tak powiemy poziomy, z klubami dla młodych i przytułkami dla starych — bez węzłów, łączących jednych z drugimi".

KRONIKA

WYSTAWA STOWARZYSZENIA GRAFIKÓW

W salach Royal Institute Galleries przy Piccadilly odbywa się, w dniach 12 — 30 lipca, wystawa The Society of Graphic Artists. Jest to 28 wystawa tego stowarzyszenia. Zawiera kilkaset prac wykonanych rozmaitą techniką, przewagę posiada ołówek, kolejno idą akwarele, oleje. Reprezentowana jest też akwaforta, znalazło się kilka rzeźb. Angielscy artyści rysować umieją, olbrzymia większość prac narysowana jest świetnie. Kolory jednak stoją na dalszym planie. Publiczność nabyła sporo prac. W tym gronie obrazów, które zdobyły uznanie rynku, na plan pierwszy wybija się drobiazgowość wykonania, wypieszczenie szczegółów oraz miłe publiczności tematy.

Wystawa jest jednak na ogół ambitna i nie schlebia gustom publiczności.

Monumentalny jest obraz olejny Knighta „Sąd w Norymberdze". Z rzeźb na ogół dobrych, najpiękniejszą jest „Święty Piotr" w drzewie, Gwynneth Holta.

Z wybitniejszych rzeczy należy wymienić Douglasa Deggat: „3 pozy kobiety", ołówek-atrament, „Stary Rzym" Oliver Bedforda, akwarela, i dobrze skomponowany portret Bertranda Russella wykonany tuszem przez artystę polskiego Stefana Barana.

Artyści polscy wnoszą na wystawy angielskie swoiste cechy, które się czuje, choć nie zawsze można je dokładnie określić. To dziedzictwo kultury artystycznej, wyniesionej z Polski lub z polskiego środowiska. Nawet nie znając nazwisk można po pobieżnym oglądnięciu wystawy wybrać obrazy Polaków. Ta pewna egzotyka wiejąca z dzieł polskich oraz na ogół większa wrażliwość na kolor, jest wszakże murem, który staje między Polakami a kupującą publicznością.

Stefan Baran, młody malarz polski, znany czytelnikom polskim z kilku obwolut, które wykonał dla książek Veritasu, dał nam tutaj dzieło pełne harmonii i bezbłędnego rysunku.

Wystawa Grafików należy do najmilszych wystaw obecnego sezonu i jest licznie odwiedzana.

S. Leg.

NIEPOGODA TEŻ DOPISAŁA

„Deszcz, który nam tyle spraw skomplikował podczas pielgrzymki do Fawley Court, sprowadził nam publiczność na nasz koncert" — słusznie stwierdził jeden z przedstawicieli Fawley Courtu. Rzeczywiście niepogoda na tyle dopisała, że wiele osób siedziało w tę niedzielę czerwcową w Londynie, i mogło przyjść na koncert. I z pewnością tego nie pożałowały, bo program był interesujący a wykonawcy znakomici.

Należy z uznaniem podkreślić, co już zresztą na miejscu uczynił w imieniu obu zakładów ks. sup. J. Jarzębowski, że nasi wybitni artyści pośpieszyli z pomocą, aby zasilić fundusze obu naszych szkół katolickich.

Organizowali całość ks. kan. N. Turulski i p. M. Nowakowski, który poprosił wielu znakomitych kolegów i z nimi ułożył program. Śpiewali więc J. Wtórzecka, A. Orda, M. Nowakowski i angielski miły gość, tenor opery Covent Garden E. Evans, a że śpiewali pięknie i że publiczność nie chciała ich wypuścić z estrady domagając się bisów, których nie skąpili, to oczywiste. O grze znakomitego skrzypka W. Niemczyka wiadomo, że zniewala nawet słuchaczy nie przepadających za grą na skrzypcach. Na fortepianie grał i umiejętnie akompaniował wszystkim solistom p. J. Sulikowski. Otworzyły koncert i zakończyły występy doskonałego i zawsze ofiarnego chóru im. Chopina pod dyr. Z. Gedla.

Osobną atrakcją był występ orkiestry perkusyjnej „niebieskich panienek" z Pitsford Hall oklaskiwany burzliwie przez publiczność, która z zadowoleniem stwierdziła opuszczając salę, iż spędziła parę godzin w bardzo miłej i swojskiej atmosferze.

Ale może na przyszłość lepiej już nie liczyć na niepogodę i pomyśleć o koncercie nieco wcześniejszym niż w czerwcu, kiedy to zainteresowania publiczności kierują się ku zielonej trawce i słońcu.

Cz.

KONKURS MŁODYCH

Jury Konkursu Młodych, zaproszone przez Komitet Obchodu 10 Rocznicy Bitwy o Monte Cassino w składzie: dr Zygmunt Nowakowski jako przewodniczący, pani Stanisława Kuszelewska, panowie Jan Bielatowicz, Józef Bujnowski, Florian Śmieja i dr Stefan Benedykt, po zapoznaniu się z nadesłanymi pracami na konkurs uznało, że żadna z prac nie odpowiada wymogom konkursu i wobec tego postanowiło nie przyznać nagród ani wyróżnień.

ŚLUB WSPÓŁPRACOWNIKA „ŻYCIA"

W dniu 17 lipca br. ks. kanonik St. Cynar pobłogosławił związek małżeński PP. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów, w kościele Panny Maryi na Clapham Common. Świadkami ślubu byli liczni przyjaciele Państwa Młodych, szczególnie z młodej generacji.

PP. Śmiejom życzymy obfitych łask Boskich na wspólnej drodze życia.

REDAKCJA

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY: a) w krajach bloku szterlingowego: — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście - 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA I CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — „Libreria Polaca", Av. Leandro Alem 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciel: „Vistula" (Australia) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — E. Kulakowska, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. - 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — Z. Kietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — „Libella" Librairie, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile. Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — P. M. K., Schoramolenstraat 9, Breda. KANADA: Przedstawiciele — Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118, Western Av., International Book Service, 57, Queen Street W., Toronto i „Radegast", 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00; NIEMCY: Przedstawiciele: S. Mikiciuk, Seehammerstr 4, Bar. 16 B/2 (13b) München 54 oraz „Informacja Prasowa" (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: B. Łubiński, Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: „Gryf Publications" — 615, Henry Street, Utica N. Y. oraz M. Kijowski — 13171, McDougall, Detroit 12, Mich. oraz J. Stojanowska, 424, Ave „B", Bayonne N. Jersey, oraz „Pomoc" — Export Import — 761, Fillmore Ave, Buffalo 12, N. Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A. Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: Mgr. B. Kurowski — Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: Mme. Z. Bułhak-Jelska — via Salaria 300/c, Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.